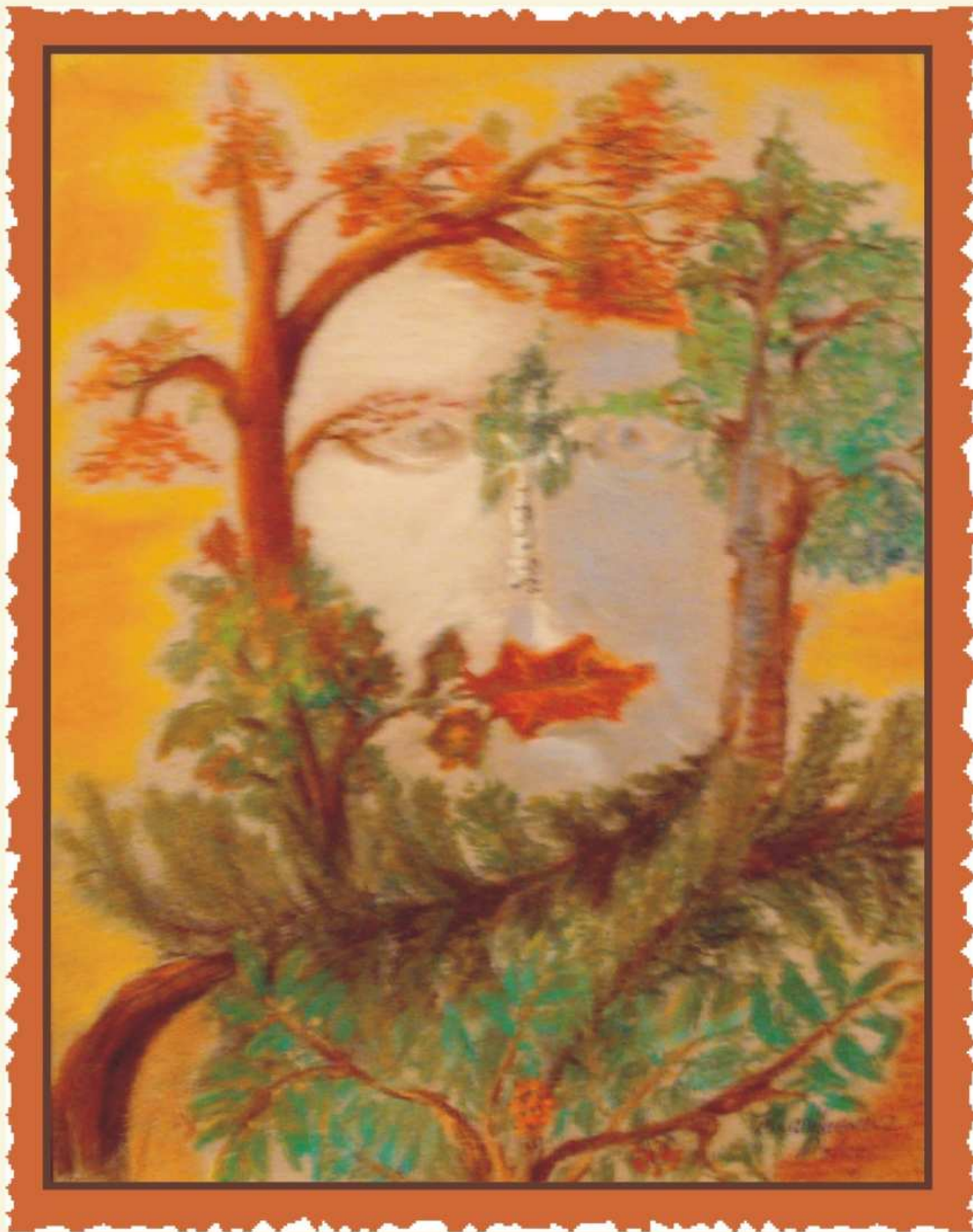


Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna  
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego



# Powiew w eny

Wejherowski Konkurs Literacki 2010

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna  
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

**Wejherowski Konkurs Literacki**

# **Powiew Weny**

Pod patronatem  
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2010

Wydawca:

**Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna  
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie, skład komputerowy, fotoreprodukcje  
i korekta techniczna: Henryk Połchowski

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Korekta: Ewelina Magdziarczyk-Plebanek

Drodzy Czytelnicy!

Piąta edycja Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny" zrealizowana przez Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie pod patronatem Prezydenta Miasta Wejherowa przebiegała pod hasłem „SŁOWIANIE MY LUBIM SIELANKI” i miała zachęcić uczestników konkursu do zainteresowania się bogatą kulturą Słowian północnych, południowych, wschodnich i zachodnich.

Polska jest członkiem Unii Europejskiej od 1 maja 2004 na mocy tzw. Traktatu Akcesyjnego podpisanego 16 kwietnia 2003 r. w Atenach będącego prawną podstawą przystąpienia (akcesji) Polski do Unii Europejskiej. Te lata sprawiły, że nasza ojczyzna zaczęła się zmieniać. Wiele aspektów naszego życia zmieniło się, a jedna z najważniejszych zmian, to otwarcie granic. Obecnie możemy podróżować po całym kontynencie. Czy znamy Europę? Jako Słowianie tworzymy w Europie ogromną siłę, ale czy mamy tego świadomość? Czy znamy naszą kulturę, historię, tradycję? Czy nie przegrywamy z kulturą Zachodu? Nasz konkurs miał zachęcić właśnie do takich przemyśleń.

Na tegoroczną edycję „Powiewu Weny” wpłynęły prace od dwudziestu uczestników (dodatkowo pojawiła się jedna praca nie spełniająca kryteriów):

Kategoria: proza, grupa wiekowa: A (młodzież) – brak prac

Kategoria: proza, grupa wiekowa: B (dorośli) – 6 prac

Kategoria: poezja, grupa wiekowa: A (młodzież) – 4 prace

Kategoria: poezja, grupa wiekowa: B (dorośli) – 10 prac.

W tym roku zdecydowaliśmy się na rozszerzenie zasięgu konkursu na całe Województwo Pomorskie. Zaowocowało to poznaniem twórczości zarówno corocznych uczestników, u których obserwować możemy rozwój warsztatu literackiego, jak i nowych, nieznanych nam wcześniej ludzi pióra. Fakt obecności tych nowych uczestników cieszy nas bardzo i naszym zdaniem, świadczy o potrzebie nie tylko istnienia, ale i rozwoju idei naszego konkursu literackiego. Po raz kolejny okazało się, że w naszym regionie jest wielu niezwykle uzdolnionych twórców, dla których udział w „Powiewie Weny”, jest nie tylko okazją na sprawdzenie swoich sił, ale przede wszystkim szansą na „wyjście z cienia”.

Fakt otwarcia naszego konkursu na całe Województwo Pomorskie podniósł, oczywiście, jego poziom, który i tak co roku był wysoki. O wyłonieniu zwycięz-

ców decydowały często dziesiątne części punktów przyznawanych przez poszczególnych jurorów.

Dziękuję bardzo za pracę członkom jury, które podjęło się oceny plonu tegorocznego konkursu. Zaś wszystkim, którzy wzięli udział w tym konkursie, z całego serca gratuluję decyzji a także możliwości zaistnienia w publikacji książkowej, która jest pokłosiem naszego konkursu. Wszystkich mieszkańców ziemi wejherowskiej obdarzonych uzdolnieniami literackimi zapraszam do kolejnej szóstej edycji konkursu "Powiew Weny" w roku przyszłym.

Jestem przekonany, że mecenat Prezydenta Miasta Wejherowa sprawowany od wielu lat nad wejherowską kulturą, który pozwala rozwijać uzdolnienia różnego rodzaju artystom, poszerza się z roku na rok także o ludzi pióra - pisarzy i poetów. Cieszę się, że podejmowane przez dyrektor biblioteki Danutę Balcero-wicz inicjatywy na rzecz rozwoju pisarstwa literackiego i czytelnictwa przynoszą konkretne rezultaty, są godne podziwu i warte kontynuacji.

**Bogdan Tokłowicz**

Przewodniczący Komisji Konkursowej  
Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa

**WYNIKI**  
**V Wejherowskiego Konkursu Literackiego**  
**„POWIEW WENY – 2010”**

Prace konkursowe oceniało jury w składzie: Bogdan Tokłowicz – przewodniczący (zastępca prezydenta Wejherowa, nauczyciel), członkowie – Danuta Balcerowicz (dyrektor biblioteki, polonista), dr Duszan Paździerski (filolog, pisarz, regionalista, pracownik naukowy UG), Roman Drzeżdżon (pisarz, poeta, muzealnik, regionalista), Henryk Połchowski (polonista, dziennikarz).

**A – grupa do lat 19**

POEZJA

- 1 nagroda: Monika Lidzbarska – „Moniael 93” (Szemud),
- 2 nagroda: Krzysztof Kamil Bojarski „KKB” (Bolszewo),
- 3 nagroda: Magdalena Wołosiak – „XJP10090203” (Wejherowo).

**B – grupa dorosłych**

PROZA

- 1 nagroda: Lucyna Kurpiewska – „Mikrofibra” (Wejherowo),
- 2 nagroda: Tadeusz Buraczewski – „MaTa” (Reda),
- 3 nagroda: Mateusz Meyer – „Lesok” (Lewinko),
- Wyróżnienie: Anika Wojewska – „Tobiaszka” (Rumia),
- Wyróżnienie: Maria Block – „Eska” (Gdańsk).

POEZJA

- 1 nagroda: Edyta Wysocka – „Mignon” (Miastko),
- 2 nagroda: Tomasz Michał Fopke – „\*” (Chwaszczyno),
- 3 nagroda: Zbigniew Radosław Szymański – „Stolem” (Gdynia),
- Wyróżnienie: Mirosław Odyniecki – „Aquarius” (Wejherowo),
- Wyróżnienie: Tadeusz Buraczewski – „TaMa” (Reda).



## **Abrakadabra**

- Wyjdiesz za mnie? – spytał z figlarnym uśmiechem na ustach. Stał bosy, ubrany w zabawny podkoszulek z misiem i szorty w szkocką kratkę.

- Chyba zwariowałeś! - Rzuciła wysoka brunetka o czarnych jak węgiel oczach. Sprawdzała coś właśnie w swoim laptopie. Była zajęta i skupiona.

- Czy jak wyśpiewam ci jakąś słowiańską pieśń zalotną zgodzisz się? – ciągnął dalej mężczyzna. Wyglądał jakby właśnie wstał z łóżka, choć było już południe. Miał dwudniowy zarost na twarzy oraz małą bliznę nad okiem.

- Nie, będę cię błagała żebyś przestał. – Odpowiedziała takim samym jak on żartobliwym tonem zdejmując z nosa okulary, które zawsze nosiła do czytania.

- No, to może od razu uderzę z wódką do twojego ojca prosząc go o zgodę - ciągnął dalej mężczyzna wyjmując z lodówki sok pomarańczowy, który co rano zastępował mu śniadanie.

- O nie, mój kochany! Nie tak szybko! Zgodnie ze zwyczajem kawaler chcący się zenić szedł wraz ze swoim swatem do domu dziewczyny z wódką. To właśnie ów pośrednik najpierw przypijał do niej, czy chce takiego męża, a dopiero potem do rodziców - wyjaśniła roześmiana kobieta. Jej twarz przybrała łagodny wyraz, miała regularne rysy, ostro zarysowane kości policzkowe oraz prosty i zgrabny nos. Jej czarne brwi i rzęsy dodawały spojrzeniu uroku i wyrazistości. Była typem naukowca, który siłą rzeczy wszystko analizuje i wyciąga wnioski.

- Małgosiu, a czy ja jestem twoim zdaniem wystarczająco wyjściowy? – spytał na żarty gładząc i przyklepując swoje potargane od poduszki włosy.

- Nie, jesteś zbyt szalony i narwany - odpowiedziała kobieta rozglądając się po ich małym mieszkaniu, jakby czegoś szukała.

- Ale chyba pasuję do nawiedzonej pani doktor mającej hopla na punkcie Słowiańszczyzny - kontynuował mężczyzna siadając na blat kuchenny.

- Jak wrócę to porozmawiamy na ten temat. Pożycz mi plecak muszę się w coś spakować – poprosiła już całkiem poważnie. Wyciągnęła z szafy stertę kolorowych ubrań, składając je w kostkę na łóżku.

- Długo tam będziesz? – spytał z ciekawością.

- Nie wiem, musimy udokumentować znalezisko i przekonać władze gminy, by



rzuciły coś na dalsze badania - odpowiedziała świadoma ogromu pracy, który ją czeka.

- Naprawdę wierzysz, że to może być stare cmentarzysko? – zagadnął już zupełnie poważnie, niepokieszony faktem, że przez najbliższe dni zostanie sam.

- Czemu nie. Rzeczywistość jest zawsze bardziej skomplikowana, niż nam się pozornie wydaje – stwierdziła Małgorzata dopinając pospiesznie granatowy plecak.

- No, to wracaj jak najszybciej. Tymczasem czeka mnie fast-foodowa dieta, bo opuszcza mnie moja najlepsza gosposia - stwierdził zaczepnie z tym samym szelmowskim uśmiechem.

- No, uważaj sobie! Podlewaj kwiatki! – przypomniała mu choć wiedziała, że połowa z nich i tak uschnie, bądź zżółknie z nadmiaru wody. Romek nie miał ręki do kwiatów, pielęgnował je z niebywałą nieudolnością.

- A ty dzwoń do mnie, jak ci tam idzie – jego głos emanował ciepłem i opiekuńczością, takiego go kochała.

- Pa, kochanie – rzuciła na do widzenia cmokając go w pomarańczowe od soku usta. Nie lubiła pożegnań.

- Pa – odpowiedział z nostalgią w głosie, spoglądając za schodzącą po schodach Małgorzatą.

- Ale ona ma wspaniałe nogi - pomyślał, zamykając na zamek drzwi.

Niecałe czterdzieści minut zabrał jej dojazd do Kosiewa, małej pomorskiej wsi, która niebawem miała stać się ważnym ośrodkiem badań nad obrzędowością kultową Słowian Zachodnich.

Kilka dni temu pewien gospodarz kopiąc w obrębie swej własności studnię, natrafił na ludzkie kości. Mężczyzna bardzo się wystraszył i na wszelki wypadek o swym odkryciu poinformował policję, z uwagi na pradawny charakter znaleziska sprawą zajął się uniwersytet.

Małgorzata wiedziała, że to dla niej ogromna szansa i okazja do sprawdzenia się. Od dłuższego czasu gromadziła materiały do swej nowej książki na temat wierzeń pogańskich, w której wysuwała śmiałe tezy podważające dotychczasowy pogląd na temat przenikania ich wpływu do obrzędowości kultowej chrześcijaństwa.

Był czerwiec, obłoki niewinnie przechadzały się po niebie, leniwie lewitując wysoko nad ziemią. Słońce wysyłało z nieba swój żar, penetrując promieniami ostatnie zacienione miejsca. Powietrze stało w miejscu tak, że praktycznie nie było czym oddychać. Jeszcze trochę i termometrom zabrakłoby skali.

W swoich gniazdach rozbitych na energetycznych słupach majestatycznie rozsiadły się bociany, uważnie przyglądając się okolicy i zwiastując mieszkańcom szczęście oraz obfitość plonów.

Wokół pachniały polne kwiaty i łąkowe chaszcze. Na polach zieleniły kłosa pszenicy i żyta, zapowiadające urodzaj tegorocznych zbiorów.

W powietrzu latały kolorowe motyle i okazałe ważki, brzęczały pszczoły oraz trzmiele pracowicie zbierając kwiatowe pyłki. Na pastwiskach stały łaciate krowy, wachlujące się leniwie ogonami i małe cielaczki bezradnie buszujące między wielkimi, ciężkimi od mleka wymionami swych matek.

Okolica wyglądała bajkowo. Zadbane gospodarstwa i pięknie wyglądające domy niczym nie przypominały wsi, na jaką posyłali ją rodzice w czasie wakacji, kiedy była małą dziewczynką. Nigdy nie lubiła piachów, błota i gumaków. Obrzydzały ją wszędobylskie muchy, które latały w domu i kuchni przyszywanej ciotki. Jako dziecko sporo chorowała, a wiejskie powietrze miało być jak antidotum na jej podupały układ odpornościowy.

Nowoczesne maszyny rolnicze oraz dobre, markowe auta osobowe zdradzały zasobność ich właścicieli. Jednak jej uwagę przykuwały ładnie zagospodarowane przydomowe ogródki, w których królowały różnobarwne kwiaty, oryginalne krzewy i przepiękne drzewka ozdobne.

Czas płynął tu jakoś wolniej, leniwiej, a sielska okolica napawała człowieka niebывałą energią. Gdyby nie fakt, że przyjechała tu do pracy uznałaby, że to miejsce idealne na wypoczynek. W końcu była to pewna odskocznia od codziennych betonowych obrazków, w których trawnik lub drzewo to jedyne przejawy obcowania z przyrodą.

- Pani pewnie nie stąd – zagadnął młody, przystojny mężczyzna widząc Małgosie kręcącą się po okolicy. Miał na sobie bawełnianą koszulkę i krótkie spodenki odsłaniające opalone nogi. W sandałach i czapce odwróconej daszkiem do tyłu wyglądał bardziej na turystę, niż tubylca.

- Nie, przyjechałem do pana Roszmana. Zna go pan? – zagadnęła przyjaźnie, by podtrzymać rozmowę.

- Wszyscy się tu znamy. A to pani pewnie z uniwersytetu? – spytał z uśmiechem choć od razu domyślił się, że to ta uczona, o której mówili tyle we wsi, że taka ładna i miła, no i ponoć z naukowym tytułem.

Miała przy sobie gruby notatnik, mnóstwo papierów oraz długą czarną tubę, w jakiej zwykle nosi się projekty lub mapy. W jeansowych szortach i koszulce na cienkich ramiączkach przypominała bardziej studentkę niż wykładowcę akademickiego.

- Tak, pobędę tu u was jakiś czas. To bardzo piękna okolica – odpowiedziała Małgosia z niekłamana fascynacją w głosie. To miejsce od razu przypadło jej do gustu.

- A może zostanie pani do sobótek? Obchodzimy je we wsi dość hucznie. Myślę, że spodobałoby się pani. – Zachęcił oczarowany nią mężczyzna. Miał ładne, zadbane dłonie i miłe, śmiejące się oczy.

- Niewykluczone, że zostanę. Mam jeszcze tu trochę pracy – odpowiedziała od-

garniając swe długie, proste włosy, które wiatr rzucił jej na twarz.

- Jak pani na imię? – Spytał zmieniając temat.

- Gosia – odpowiedziała z uśmiechem patrząc w niebieskie oczy swojego rozmówcy.

- Jestem Jacek – przedstawił się nieznajomy – może mówmy sobie po imieniu – zaproponował przyjaźnie chwytając w swoją dużą dłoń, małą dłoń Małgosi.

Jeszcze chwilę stali tak przy drodze rozmawiając o pogodzie, roślinach i innych niezobowiązujących tematach, budując niewidzialną nić porozumienia i czerpiąc prostą radość ze zwykłej rozmowy z drugim człowiekiem.

Małgorzata odchodząc pomyślała, że ludzie są tu na prawdę mili i przyjaźni, nie tak zabiegani i skupieni na sobie jak ci, z którymi stykała się w mieście. Codzienne stresy i życie w szybkim tempie nie służyło rozwojowi kontaktów międzyludzkich, czyniąc je płytkimi i zdawkowymi.

Cały dzień w terenie, ciężka praca i brak odpoczynku sprawiły, że poczuła się wyczerpana. Organizowanie stanowiska oraz jego identyfikacja była czasochłonnymi i mozolnymi zabiegami. Nocleg w przybudówce domu państwa Roszmanów, choć skromny i poniekąd prowizoryczny, jawił się jej teraz jako pożądane miejsce odpoczynku dla zmęczonych nóg i bolącego od zginania kręgosłupa.

Jednak zafascynowana swym nowym projektem długo nie mogła usnąć. Gdzieś tam podświadomie była prawie pewna, że to miejsce kryje w sobie jakąś głębszą tajemnicę, choć na razie to przecucie nie było poparte żadnymi dowodami.

Kobięca intuicja jeszcze nigdy jej nie zawiodła, dlatego z uporem maniaka postanowiła zdobyć środki na kontynuowanie badań. To była teraz nadrzędna sprawa, od której uzależnione były realizacja i powodzenie tego projektu. Miała jednak świadomość, że to nie takie łatwe zadanie, biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenia z władzami gminnymi, które z reguły specjalizowały się w odmawianiu jakiegokolwiek współpracy oraz tak zwanej psychologii, to jest zachęcania do szukania sponsorów gdzieś indziej.

Oczywiście uniwersytet chętny i gotowy do objęcia patronatu nad badaniami nie posiadał tego, co w obecnej sytuacji było niezbędne – funduszy na dalszą eksplorację.

- Pani Małgosiu, niech pani radzi sobie sama, to nie było planowane w budżecie na ten rok, nie mamy dodatkowych rezerw - jak echo zabrzmiały jej w głowie słowa rektora, który prócz dobrego słowa nie potrafił jej pomóc.

W koło panowała ciemność, wszystkie światła w oknach już dawno pogasły. Cała wieś pogrążyła się we śnie. Tylko ona nie mogła opanować wrażeń dzisiejszego dnia oraz znaleźć dogodnej pozycji do snu. Zniecierpliwiona odwracała się to na jeden, to na drugi bok, stale poprawiając puchową poduszkę, która jak na złość nie dopasowywała się do głowy i szyi stwarzając niewygodę. Przygnieciona wielką puchową kołdrą czuła buchające spod niej ciepło. Noc była parna i duszna,

dlatego postanowiła z niej zrezygnować i okryć się kocem. Zamknęła oczy i przez chwilę wydawało się jej, że zaraz zaśnie, jednak coś zniweczyło tę próbę.

Mogłaby przysiąc, że gdzieś całkiem niedaleko słyszy płacz małego dziecka, który co jakiś czas mieszał się z przeciągłym niezidentyfikowanym jękiem. Po chwili uświadomiła sobie, że jej gospodarze nie mają w domu żadnego niemowlaka, dzieci Roszmanów były już duże.

Te odgłosy nie dawały jej jednak spokoju. Jak tylko przytuliła twarz do poduszki, zaraz znowu podrywała się nad słuchując. Zdesperowana postanowiła wstać z łóżka i sprawdzić, co się dzieje.

W mroku wszystko wyglądało posepnie i strasznie. Parę metrów od okna przybudówki dostrzegła ogromne kiwające się na wietrze drzewo. W jego okazałej, rozłożystej koronie słychać było jakieś szmery i szelesty. Pomyślała, że to pewnie nocne ptaki i skrzypienie starego konaru nie dają jej spać.

Według wierzeń Słowian skowyty i wycia, czepiające się ścian czy węglów chaty, piskliwe płacze wybuchające wśród chwilowej nocnej ciszy u drzwi, okien lub pośrodku obejścia, wszelkie trzaski, stuki i kołatania były wynikiem przelatywania z wichrem dusz ludzkich, zwłaszcza dziecięcych.

Współczesna nauka tłumaczyła te dźwiękowe bodźce spędzające sen z powiek słowiańskiego chłopca aktywnością sów, zwłaszcza puchaczy. Ich samce, walczące w mroku o samice wydawały z siebie dźwięki, jakich wystraszyłby się nawet największy twardziel. Nie mówiąc o zabobonnym wierzącym w czary i gusła wieśniaku.

Zmęczona wróciła do środka. Spojrzała na zegar, wyświetlał 2.45. To idealny czas dla demonów oraz dusz zmarłych, które grasowały już od ładnych paru godzin - pomyślała i przygniotła uszy poduszką, tak by nie dochodził do nich już żaden niepokojący dźwięk. W takiej pozycji dotrwała do rana.

- O, cholera! - zakląła spoglądając na budzik, który pokazywał już dziewiątą. Nie mogła uwierzyć, że zasnęła w tak ważnym dla niej dniu. Była umówiona na spotkanie w sprawie dotacji do wykopalisk z wójtem gminy. Chciała przekonać lokalne władze, że to dla nich nietuzinkowa promocja, a rezultat badań może pociągnąć za sobą nową widzę przysługując się nauce.

Spojrzała w lustro i przestraszyła się swojej nasrożonej fryzury. Wyglądała jak czarownica, niewyspana, potargana i o zgrozo, zostało jej tylko piętnaście minut, by to zmienić. Pospiesznie, ubrała się, umyła twarz i zrobiła delikatny make up. O żadnym śniadaniu nie mogło być mowy, chociaż kiszki grały jej marsza. I tak była dla siebie pewna podziwu. Czynności, które zwykle zabierają jej bitą godzinę teraz wykonała niemal w olimpijskim tempie, bijąc swój życiowy rekord. Pospiesznie wsiadła do swojego pickupa, po czym mocno przydusiła gaz, tak, że zaświstały opony, a powietrze spowił ciemny kurz.

- Dzień dobry! Jestem umówiona z wójtem - rzuciła do sekretarki, która na pierwszy rzut oka nie wyglądała zbyt przyjaźnie. Kobieta już od progu od stóp do głów objechała ją wzrokiem.

- Pan wójt czekał na panią, ale teraz ma inne spotkanie - odpowiedziała z zimną stanowczością.

- Ale ja... - Małgosia zawahała się chwilę, po czym uznała, że nie będzie się jej tłumaczyć. - Ja muszę się z nim dziś spotkać - oznajmiła z uporem.

- Pan wójt ma napięty terminarz spotkań, poza tym ma dużo pracy - stwierdziła wrogim tonem, próbując ją zniechęcić

- Zaczekam - rzuciła zdesperowana Małgosia. Wiedziała, że musi jak najszybciej zdobyć te pieniądze, to była dla niej kwestia być albo nie być.

- To może potrwać - uprzedziła podstarzała blondyna z dużym dekoltem niepokieszona nachalnością petentki-intruza.

Na szczęście po dziesięciu minutach drzwi gabinetu otworzyły się i w progu stanęli dwaj zegnający się mężczyźni. Małgosia spojrzała z niedowierzaniem na tego młodszego

- Jacek? A co ty tu robisz? - spytała zaskoczona.

- Gosia? Ty do mnie? - odpowiedział równie zdziwiony wójt.

Zaskoczona sekretarka zrobiła minę wigilijnego karpia, po czym uśmiechnęła się sztucznie.

Spotkanie przebiegło w nad wyraz miłej atmosferze. Oprócz pomocy finansowej Małgosia otrzymała jeszcze ochotników do łopaty w postaci bezrobotnych z lokalnego urzędu pracy, którym pensje wypłacać miała gmina. Lepszego scenariusza nie wymyśliłaby nawet w najskrytszych marzeniach. Z takim wsparciem ruszała na podbój zapomnianego słowiańskiego świata.

Kilkudniowe „wykopki” przyniosły nadspodziewany rezultat. Ich oczom objawiło się stare cmentarzysko z dobrze zachowanymi grobami szkieletowymi. Szczególną uwagę Małgorzaty przykuł jeden dziecięcy pochówek, ze względu na swą niezwykłość.

W małej szczątkowej trumience spoczywały zwłoki noworodka z odciętą głową i siecią, podobną do tej jaką rybacy łowią ryby.

- Gośka, czy ty myślisz o tym samym co ja? - rzucił asystent, podniecony i ucieszony tak efektywnym obrotem sprawy.

- Tak, to najprawdopodobniej strzyga - potwierdziła pani doktor dumna ze swego najnowszego odkrycia.

- Co takiego? - spytał jeden z ochotników wyłowionych z Powiatowego Urzędu Pracy, nieświadomy o czym oni mówią.

- Wupi, wupierz, wiesz czy lub jak kto woli potocznie wampir - wyjaśniła ucieszona zaskakującym znaleziskiem Małgosia.

- To jakiś żart!? - zdziwił się chłopak na tak dziwaczne wyjaśnienie. - Noworodki nie mają zębów, a to był przecież atrybut upiora. Po czym więc sądzicie, że to wampir? - spytał z niedowierzaniem. Szkielet na pierwszy rzut oka wyglądał zwyczajnie.

- Nie, widzisz, to dziecko ma odciętą głowę. Prawdopodobnie zrobiono to po jego śmierci.

- Po co ktoś bezcześcił zwłoki dziecka? – spytał zdezorientowany.

- W dawnych czasach tak pogańskich jak i chrześcijańskich obawiano się strzyg jak ognia. Za życia wedle jednych taki delikwent niczym się nie różnił od zwykłych ludzi według innych posiadał własności czarodziejów i wiedźm, ale główna jego cecha objawiała się dopiero po jego śmierci. Złożony do grobu po zgonie zachowywał nadal rumieniec na twarzy i zaczynał gryźć swoje członki oraz ciało. Dopóki to robił, dopóty krewni jego zapadali jeden po drugim na choroby i w konsekwencji umierali. Gdy już wygryził z siebie całe ciało i pociągnął do grobu wszystkich swoich krewnych, aż do ostatniego, wówczas wstawał z martwych, wdrapywał się na dzwonnice i dzwonił. Kto tylko w całej okolicy usłyszał głos tego dzwonu musiał umrzeć. Jednym ze sposobów unieszkodliwienia tego potwora było pośmiertne ucięcie mu głowy.

- Trzeba urwać łeb hydrze - zażartował Darek, asystent.

- Myślicie, że to mały Drakula, a nie na przykład dziecko rybaka? Przecież pochowali go razem z siecią? – dociekał wnikliwie młody człowiek niedowierzając wyjaśnieniom Małgosi. Wampiry kojarzyły mu się bardziej spektakularnie.

- No, właśnie – przytaknął Darek.. – Ta sieć, to kolejny dowód potwierdzający słuszność naszej tezy.

- Jak to? – zdziwili się pozostali mężczyźni, którzy przysłuchiwali się rozmowie z zaciekawieniem. Oparci o łopaty z uwagą śledzili argumenty obu stron.

- Ten, kto włożył ją do tego grobu chciał opóźnić cały proceder. Jeden ze zwyczajów pogańskich mówił, że taka sieć ma magiczną moc. Wupi zajęty na przykład pruciem oczek w sieci swoją uwagę koncentruje wówczas na przedmiocie, a nie na członkach swojej rodziny - wyjaśniła kompetentnie Małgosia.

Uwielbiała dzielić się swoją wiedzą z innymi i dlatego tak bardzo kochała swoją pracę, która łączyła znamiona przygody ze zwykłą szarą akademicką codziennością. Zwyczajnie słowiańskie choć dziwaczne i poruszające wyobraźnię traktowała z niezwykłą powagą i szacunkiem. Tradycja niesiona przez parę tysięcy lat musiała nosić w sobie chociaż pierwiastek rzeczywistości, a więc nie można było jej lekceważyć.

Było to że dwie niedziele przed nocą Kupały, kiedy księżyc świecił całą swą pełnią, przypominając wielkiego kołacza. W pewnej kaszubskiej chacie w ogromnych bólach i mękach narodziło się dziecko, małe, wrzeszczące. Na świat przyszło w czepku, który był złym omenem.

Zmęczona i podupadła na siłach położnica nawet nie zwróciła uwagi na głowę dziecka, szczęśliwa i rada, że już witać je może na świecie. Jednak babka dziecka, pełniąca rolę akuszerki, świadoma nieszczęścia jakiego znamiona nosi na sobie taki czepiec, zatrwożona zdjęła go z główki niemowlęcia i wrzuciła do pieca, zapo-

mniawszy posypać czoła dziecka popiołem. Po czym wybiegła z chaty z zakrwawionym fartuchem. Wielce szczęśliwa zawołała tak głośno jakoby słyszeć ją mogli w całym sąsiedztwie:

- Całemu światu do wiadomości, a dziecku na zdrowie! Wilczyca porodziła wilka!

Zaciągnąwszy wieczornego powietrza w płuca zwróciła się do młodego pastucha, który nerwowo kręcił się w koło obejścia, nie mogącego znaleźć sobie miejsca.

- Masz syna! – wyrzekła ogromnie zadowolona i dumna, jako, że właśnie została babką.

- A dzięki ci pani matko za tak radosną nowinę! – odpowiedział klaskając w ręce, przeschęśliwy, że to właśnie syn, po czym zaczął wesoło płasać, jakoby się nałykał jakiego szaleju.

Jak obyczaj każe, nowo narodzoną dziecinę obmyto w wodzie zmieszanej z wywarem z ziół rozmaitych: piołunu, ruty, lubczyku, bylicy, pokrzywy oraz mięty, a następnie włożono w powijak zakrecony z koszuli ojca. Wszystkie te zabiegi miały ustrzec ją przed złowrogim działaniem złośliwych demonów, tak groźnych i niebezpiecznych dla położnic i bezbronnych niemowląt.

Nie minęła niedziela gdy kura zapiąta jak kogut zwiastując tym samym ogromne nieszczęście. Przestraszeni domownicy, by przeciwdziałać czarodziej-skim mocom postanowili zabić ptaka i przyrządzić z niego rosół. Jednak i to nie pomogło. Jeszcze tego samego dnia dziecię rozchorowało się straszliwie, trawione przez wielką gorącz, odmawiało piersi matki i z każdą godziną coraz bardziej podupadało na siłach.

Przekonany, że to zły urok, ojciec posłał po wróżbitę, by odczynić na nim uroki. Ten zjawiwszy się wziął piach spod trzech kół jednego wozu i po trzykroć posypał niemowlę. To zrobiwszy rzekł:

- Tu moja rola się kończy, wiły odstały, urok przestał być w mocy.

Wielce szczęśliwa gospodyni, dała mu w podziękę kopę jaj i skórki królików. Na wszelki wypadek zostawiła pod kołyską siekierę skierowaną ostrzem do góry, by osłabiać domowe demony. Przystawszy okładać dziecko zimnymi szmatami postanowiła się zdrzemnąć, zmęczona ciągłym czuwaniem.

Mimo działań ochronnych dziecina zmarła we śnie. Nie usłyszała go ani matka, ani ojciec, jeno znaleźli nad ranem w kołysce już wystygłe.

Jakby tego nieszczęścia było jeszcze mało, kilka dni po nim odeszła w zaświaty jego matka, zachorowawszy uprzednio na duszności.

- Cóż ja teraz mam robić matuś? Moja umiłowana Hanuś w grobie leży, a pierworodny Jasio ledwo urodzony już mi zawczasu odebrany.

- Posłuchaj, to nie był Jasio ino wupi!

- Jak możesz takie oszczerstwa rzucać pani matko, przeto to nie przystoi!

- Ależ to prawda, sama go na tym świecie witałam. Kiedy się urodził miał na głowie czepiec, zdjęłam go i wrzuciłam do pieca, jakoby zniszczyć przebrzydłe fatum, ale i to nie pomogło. Kiedy ogień tlił się już lekko w kominie zapomniałam wygarnąć popiołu i posypać nim główki dziecka. Przyznaję, że to moja wina, przeto miarkowałam, że już samo spalenie czepca odgoni złe moce. Jako pasterz wiesz dobrze, że nie mogłam zagasić ognia, gdyż jego żar odstrasza złe moce. Jenó śmierć Hanki dała mi domyślenia...

- Jak mogłaś matuś tak ogromne popełnić zaniedbanie? Teraz moi bliscy w zaświatach, a śmierć czai się w obejściu.

- Nie czas na żale! Musimy się ratować, przeto wupi wróci i po ciebie, i po mnie, i po całą resztę rodziny.

- Słyszałam kiedyś jak chłopcy gadały w karczmie, że w takim przypadku trzeba odkopać grób i włożyć strzydze sieć rybacką. Przeto zajęta nie będzie skora wracać po następnych.

Jak uradzili tak zrobili. Wielka sieć z trudem zmieściła się w malutkiej dziecinnej trumience, w której uczładowały już liczne robaki.

Zbliżała się wigilia świętego Jana, kiedy to władza wiedźm dosięgała szczytu, trzeba było przygotować obejście. Na wszelki wypadek wszystkim w rodzinie wszyto w odzież czosnek, gdyż chronił on od demonów, zmor, czarownic i od wszelkich w ogóle czarów oraz uroków. Jakoby ustrzec przed tym samym zwierzęta przyczepili do wrót obory gałązki szakłaku nazbierane w noc św. Łazarza i okropili dom oraz chlewy święconą wodą, układając pod progi pokrzywy.

Rano matka pastucha na zdrowiu podupadła, dusząc się i krew z ust puszczając trwożyła się ogromnie istnieniem klątwy. Strach i świadomość, że sieć już nie działa truła ją od środka jak jad żmii.

Idąc za radą wróżbity syn jej postanowił jeszcze raz odkopać zwłoki swego pierwородnego i siekierą urznąć mu łeb, tak by wupi nikomu już krzywdy nie zrobił, jeno gnił w ziemi jak zepsuty owoc.

Gdy tylko głowa dziecka odpadła od korpusu, starej matce poprawiło się tak rychło, że jeszcze tego samego dnia na sobótkach przy ogniu tańcowała. Jego potężna siła rozpraszała mroki dając niezwykłą jasność poświaty, której złe potęgi z przestraczem unikały.

Żywioł o ogromnej niszczącej mocy, sprzymierzał się z prostym ludem, który z wielkim weselem skakał przez jego parzącą koronę, jakoby sobótkowe płomienie chłopstwa nie tykały.

Aby wzmocnić działanie ognia parobkowie wrzucali doń tarninę, tak, że ogniska te rozpalone na pagórkach było widać het, het pod lasem. Wesołym zabawom nie było końca.

Dziewki w precudnych, barwnych wiankach z kwiecica polnego: maków, chabrów, stokrotek, bławatków, margaretek i kaczęńców wesoło płaśały po pachnącej



soczystą trawą łące. W powietrzu wesoło iskrzyły się świetliki, mieniać się jakoby dzisiejsza noc dodawała im jeszcze większego niż zwykle blasku.

*Zielona łączka jałowa,  
Lepsza to dziewczyna niż wdowa.  
Zielona łączka jałowiec,  
Lepszy kawaler niż wdowiec,  
Bo u kawalera długo spać,  
A u wdowca reno wstać...*

Unosiły się wesołe śpiewy, tak piękne i czyste jakoby jakieś rusałki nęciły ucho precudnym brzmieniem.

Panny zamążpójścia oczekujące wróżyły sobie z zerwanego kwiecica, kolejno odrywając delikatne płatki, dopóki dopóty roślina przed nimi całą prawdę objawiła.

Niektórzy szli na pole szukać źdźbła o podwójnym kłosie, gdyż zgodnie z wiarą ojców znalezione w dniu św. Jana Chrzciciela posiadało korzeń z czystego srebra, całkiem podobny do ludzkiej głowy i zapewniało szczęście znalazcy na całe życie. To też chłopcy w pola włążyły, pochodniami świecąc pod nogi, a nie jeden w pokrzywy wlaźł poparzywszy się w bosa stopy. Lud bowiem chronił pola od uroku wtykając w ziemię wiechy z pokrzyw, nieuważnym na zgubę.

Starsze wieśniaczki ziół zaś na łąkach szukały, bo w ową magiczną noc wszystko nabierało szczególnego znaczenia i nawet złocień, nagietek oraz kupalnik miały dziś jeszcze większą niż zwykle moc działania.

Na niebie migwały miliony gwiazd i żadna już tej nocy nie spadła, bo prosty lud wierzył, że jak ktoś się rodzi na niebie pojawia się nowe światełko, a jak umiera gaśnie.

*Miesiąc świeci, słońce grzeje,  
Do kochania serce mdleje.  
Jak się serce uspokoi,  
Do kochania się nastroi...*

W koło wirowały ustrojone w kwieciste wianki dziewczyny, śpiewając ludowe piosenki.

- To niesamowite, że te proste chłopskie przyśpiewki przetrwały tyle wieków – pomyślała Małgosia

Poprzebierani w białe szaty mieszkańcy wsi na pierwszy rzut oka wyglądali jak pradawni Słowianie. Ich współczesność zdradzały jedynie zdobycze cywilizacji w postaci zegarków na rękach i telefonów komórkowych zawieszonych na szyjach, bez których nikt już nigdzie się nie ruszał.

- Cieszę się, że mogę cię tu spotkać – zagadnął ją Jacek, który wyskoczył nagle gdzieś z tłumu bawiących się osób. Wyglądał dziś znów tak jakoś nieformalnie, jak wtedy, kiedy pierwszy raz go zobaczyła.

-To ja się cieszę. Dziękuję ci za pomoc - odpowiedziała z uśmiechem na ustach. Dzięki jego wsparciu zdobyła kolejny materiał do publikacji, nie mówiąc już o zazdrości kolegów, którzy niedowierzali w jej szalone przeczucie.

- Nie ma za co, też byłem ciekawy, co jest zakopane na tej łące – odpowiedział Jacek z dziecinną szczerością i skromnością.

- Będzie mi brakować tego miejsca – stwierdziła smutno myśląc o wyjeździe. Rozkopana łąka Roszmanów odsłoniła już przed nią wszystkie swe tajemnice

- To zostań tu – nieśmiało zaproponował Jacek. Na własnej skórze odczuł dziś moc świętojańskiej nocy. Bardzo chciał żeby została.

- Nie mogę – odpowiedziała czując wewnętrzne rozdarcie.

Nagle piękna pogoda, która według wszelkich prognoz miała się utrzymać aż do piątku zepsuła się i z nieba zaczął padać drobny kapuśniaczek. Jego małe kropelki wirowały w powietrzu zaskakując swym ciepłem. Część ludzi przeniosło się bliżej lasu, by w razie czego skryć się przed deszczem w koronach drzew.

Małgosia zerwała z łąki jakiś chwast i wrzuciła go do ogniska.

- Co robisz? – spytał zdziwiony Jacek.

- Według wierzeń słowiańskich dymy z czarownych ziół rozpędzają gradowe chmury – odpowiedziała zaskakująco w charakterystyczny tylko dla niej sposób. Jej głos brzmiał tak przekonująco, że gdyby powiedziała wszystkim, że mają właśnie skoczyć w ogień, pewnie większość zrobiłaby to natychmiast.

- Ha, ha, ha – roześmiał się na dobre.

- Co za kobieta! - pomyślał zafascynowany urodą i mocną osobowością Małgorzaty.

Pani doktor spojrzała na niego spod swych niebiańsko długich rzęs. Miał bardzo ładne zęby, do tego pięknie się uśmiechał. Po chwili drobny deszcz przestał padać, a na niebie pojawiła się ogromna, różnobarwna tęcza.

- Widzisz, to działa – stwierdziła z uśmiechem.

- Jesteś słowiańską szamanką? – zażartował Jacek zdziwiony niezwykłym zbiegiem okoliczności.

- Raczej wiedźmą – odpowiedziała rozbawiona Małgosia. – Magia Słowian, to magia żywiołów: ognia, wody, powietrza i ziemi.

- To co, teraz zamienisz mnie w żabę? – skwitował dowcipnie.

Małgosia podniosła dłonie i rozłożyła swoje długie palce w czarodziejskim geście, tak jak to zwykle bywa w legendach i bajkach.

- Abrakadabra... Uważaj bo już czaruję – odpowiedziała parszkając śmiechem.

- Nie ma się co śmiać, skoro ludzie w dwudziestym pierwszym wieku nadal wierzą w czarne koty, odpukiwanie w niemalowane drewno, uroki rzucane na noworodki oraz boją się siedmiu lat nieszczęść w przypadku rozbicia lustra

- To ja tu jestem specjalistą od pogańskich obrzędów. Zapomniałeś o wstawaniu z łóżka prawą nogą...

Małgosia poczuła, że ze śmiechu boli ją brzuch. Dawno już tak beztrosko się nie bawiła...

*Lucyna Kurpiewska*

## Pani Stanisława

*Tam na północ! Hen daleko!  
Szumią puszcze ponad rzeką.*  
Wincenty Pol

**Kto wie co to jest łąg?** Ot niewielkie bajoro leśne otulone tatarakiem, kępami trzciny i stojącymi po kostki w wodzie olchami. Wodopój dla skrzydlatych, parzytokopytnych, acz dość ryzykowny dla ludzi. Wylęgarnia komarów, owadów i leśny raj dla wszelkiego ptactwa, robactwa & pełzactwa. Kiedy maj poczynał buzować jak zacier u tubylców, zgiełk, wizg, jazgot i harmider był tu do nie do opisania. Chyba, że przez wybitnego ornitologa. Kilkadziesiąt kroków od tej wody, poza wsią Leśniki, czyli na kolonii, ryglowały południową pierzeję podmokłego lasu zabudowania Malinowskich. Tu panną na wydaniu była Stasia, zakochana w poezji Wincentego Pola, a kiedy sąsiad Bolek rozmarzał się w akordach na mandolinie, to chyba i w nim...

**Co to jest przypadek?** To widomy znak zmiany dramaturgii czyjś życia. Jednego życia, splotu kilku jego wątków... Nieopodal leśnickiego łągu potężniała, imponująca jak na mrówki przystało, piramida mrowiska. Ten kopiec, tuż po wojnie, rozgrzebał stary Orzechowski i powierzył pracowitym owadom niebezpieczną tajemnicę - mauzera z partyzantki. Ubecja podówczas czesała lasy, szalała po okolicznych wsiach, więc rozsądek i strach podpowiadały takie, zda się bezpieczne rozwiązanie. Jednak logika mrówek jest odmienna niż u ludzi. Poczęły odbudowywać nadwyrężoną mrówkopolię tak, że odsłonięta przezeń lufa karabinu jęła celować we wschodnią stronę nieba. Ktoś to zobaczył, doniósł, przyjechali gazikiem ci, których ontologię powojennego ładu budowały przesłuchania, zeznania i tortury. A że chata Orzechowskich stała niedaleko od łągu, dwudziestokilkuletni Bolek już na Rakowieckiej w stolicy, kolegom z celi mógł nucić coś, co w czasie teraźniejszym było już li tylko ironią:

*„Dokoła tylko ciemny las – i ciemna noc dokoła – więc wolna Polska woła nas – w swe szeregi dziś nas woła. Do wojska nie zabiorą nas – nie wezmą emigrantów – do walki stanie oddział nasz – oddział polskich partyzantów”.*

Tak w narzeczeństwo panny Stasi i partyzanta Bolka perfidnie wplątała się historia. I po paru latach rozterek Stanisława wyszła za mąż za pracowitego Franka. Kiedy po dziesięciu latach amnestia wygarniała z więzień, wyszedł i wrak ludzki

Bolek. I nie miał za złe, że Stasia hymn partyzancki, nuci przed snem już siedmioletniemu Tadziowi. To „szczepienie” historii też ani chybi musiało w nieodległej przyszłości objawić się absolutnie innym rodzajem wojny w tadziowym pokoleniu. Wojny słów i argumentów. Wszak na początku było słowo...

**Co to jest herbaciarnia?** W przedwojennym Tykocinie przy dawnej ulicy Piłsudskiego pod numerem 3 – można było za kilka dosłownie groszy, zjeść chrupiącą kajzerkę, popijając herbatą. – *Nuu, niech panna Malinowska wejdzie* – zachęcał Żyd Kropiwnicki. Weszła, wypła szklankę aromatycznego naparu madras, a osiem lat później, w tym samym miejscu, już jako żona Franciszka, urodziła pierworodnego syna. Żydów wymordowali Niemcy w łopuchowskim lesie, a po wojnie pracowity Franciszek kupił połowę tej właśnie kamienicy. Z ukrytym tunelem wiodącym kilka metrów spod podłogi w kuchni do głębokiej piwnicy obok tego smukłego domu w samym centrum miasta, z charakterystycznym holenderskim gzymsem.

**Co to jest słoik?** Pani Stanisława, już jako zasłużona emerytka, uruchomiła z kilkoma sąsiadkami prywatny caritas. Biednych w Tykocinie nie brakowało, więc panie, skrzyknięte przez przywódczynię, dynamiczną panią Stasię, topiły smalec ze skwarkami do słoików, by bez większych ceregieli, obdarowywać tych, których w miarę reform balcerowiczowskich przybywało i przybywało. *A bieda i wszy mnożą się same* – jak zwykła mawiać szefowa „caritasu” z ulicy (obecnie) Złotej. I któregoś pięknego dnia schodząc do piwnicy po niezbędne manufaktury słoiki, stwierdziła, że ktoś skutecznie „obrobił” jej skład przetworów. Jako osoba doświadczona wojną, wiedziała co to jest głód, więc na półkach piwnicznych gromadziła wszystko, co może przetrwać w słoiku. Konfitury z wiśni, kompoty z truskawek, ogórki kiszane, marynowane prawdziwki jak i rozliczne rodzaje zawekowanego mięsa. W małym miasteczku nie ukryje się nic, nawet złodziej słoików. I krok po kroczku Sherlock Holmes Stanisława wiedziała, że to dwóch „caritasowych” niedożywieńców połakomiło się na jej prywatny skład. I kiedy duet lumpów już nasyconych jej wekami, dokonywał zakupu ćwiartki rytualnego denaturatu, w drzwiach sklepu stanęła heroina „caritasu”.

- *Rysiek! – wiem, że byłeś głodny jak i ty Zdzisiek. I wiem, że to wy wynieśliście z mojej piwnicy – ile się dało. – Niech Bóg wam wybaczy – kontynuowała chrześcijańską perorę pani Stanisława – i niech wam na zdrowie pójdzie, ale drodzy chłopcy – wszystkie słoiki macie mi bezwzględnie zwrócić, bo już i tak nie mam w co topić smalcu ze skwarkami dla potrzebujących i takich jak wy - głodomorów.* Odwaga była jej immanentną cechą. Wróciła do domu, a za dwie godziny Rysiek & Zdzisiek, z wielkimi worami pobrzękującymi pustym szkłem, zapukali do drzwi: - *my przepraszamy pani Stanisławo, my...* Miękkie serce miała pani Stanisława...

**Co to jest „Port przeznaczenia”?** To powieść H.M.Tomlinsona, którą mama Stanisława dała już dziewięcioletniemu Tadziowi pod choinkę. Stół w kuchni miał

dwie funkcje istotne. Z jednej strony było wałkowane ciasto na pierogi, a z drugiej siedział malutki człowieczek i wielkimi kulfonami zapełniał strony zeszytu w dwie linie z niebieską miękką okładką. Kiedy skończył pięć lat zaczął intensywnie studiować dzieła z serii – „Poczytaj mi mamó”. Bardzo zaś nie lubił strzyżenia, ale kiedy dostał do ręki nową książeczkę, gdzie „*płynęła rzeczka jak błękitna wstążeczka – a tylko kamień i ryba znały mowę jej chyba...*” – fryzjer mógł go opitolić na łysą głacę, tak był zajęty. Narew płynęła jak czas w znanej piosence, i kiedyś mama zaprowadziła Tadzia do biblioteki, skąd przynosiła do domu przemiennie Kraszewskiego lub Rodziewiczównę. A teraz jeszcze „Na jagody” Konopnickiej. I czytali oboje trochę w dzień, a czasem i wieczorami przy lampie naftowej. Tak mała prowincjonalna biblioteka stała się czarodziejską lampą Alladyna. A światy rodziły się tuż tuż – w ciepłym kręgu lampy, pieca w którym trzaskał płomień z krzewiny i w zasięgu wyobraźni...

***Kto to był pan Antonowicz?*** On musiał przed reinkarnacją niewątpliwie być kotem. Bo tylko to w niewielkim stopniu mogłoby usprawiedliwić jego przestępstwo. Ale po kolei. Dumą pani Stanisławy była kotka Sprytka. Taka urocza czarno-biała anarchistka. Znosiła do ogródka i chowała w fasoli swoje łupy, a polowała przeważnie na gołębie. Sąsiad Sawostian patentował niczym Einstein nowe skomplikowane zabezpieczenia gołębnika, a kocica na przekór technice i jego wynalazkom zносиła nowe trupy turkotów i garłaczy, by potem spokojnie raczyć się ulubioną wątróbką podsmażoną przez panią Stasię. Gołębi nie jadała. Na wyzerki przychodziła jak stary domownik. Najpierw skok na parapet okna, stąd na wyciągnięcie zręcznej łapki była kłamka... i drzwi stawały otworem. Zdarzało się, znikała na kilka dni i wracała z naderwanym uchem cokolwiek wymizerowana, a pokancerowanym łaciatym futerkiem świadcząc, że za niezależność się płaci każdą, nawet najwyższą nawet cenę. Odpoczywała mrucząc przez sen, nabierała sił, leczyła rany, a kiedy jej ruchy nabierały sennej samiczości aktorzy Jessiki Lange, znów zносиła ofiary z gołębi na fasolowe grządki. Sąsiadowi Pogorzelskiemu „ktoś” regularnie wykradał rybki-żywe przygotowane na szczupaka. Trzymał je w chlewie w wannie z wodą. Zaczął się więc na złodzieja z metalowymi grabkami i... po kwadransie był urzeczony jak Sprytka przycupnięta na krawędzi wanny jedną łapką napędza, a drugą odławia niewielkie kiełbie i ukleje. *–Robiła to tak zręcznie i artystycznie, że nie miałem sił ani odwagi by „ograbić” ją z tej przyjemności...* stwierdził potem sąsiad-wędkarz. Tu wypada dodać, że pupilka pani Stanisławy, czyniąc tu i ówdzie inteligentnie przeróżne spustoszenia, staje motorem jej talentów mediacyjno – rozgrzeszająco – amnestycznych. No, bo jak tu nie puścić tych kocich grzeszków płazem kiedy Sprytka kobiecoshmaragdowymi bryzgami oczu wpatrywała się z ciekawością jak pani Stanisława wrabia na drutach napis SAR w sweter dla syna studenta. Sprytka aktorstwo miała jak Jessica w czterech łapach i uroczym pyszczku, przy którym niektórzy ludzie zupełnie zwierzęją. Była mą-

dra jak kot Salomon Mistrza Gałczyńskiego i mogłaby być archetypem wersji animalistycznej „Żywego” – genialnej powieści pisarza radzieckiego Borysa Możejewa. Bo oto trafia nam się stworzenie boże, na którego inteligencję nic nie możemy poradzić, znaleźć rozsądnego remedium. I niestety, musimy się czasem poddać. To tak jakby na rowerze się ścigać z bolidem Kubicy. No cóż... Chodzi toto, robi co chce, przekracza ewidentnie wszelkie uznane granice, demonstruje mimowolnie (bądź wolniej - swoją błyskotliwość, niezależność i totalną dezynwolturę do normatywnej dookolności i... trzeba jej to wszystko niestety wybaczać. Człowiek darzy uczuciem zwierzę, słusznie doszukując się cech podobnych jemu. I chyba vice versa. I stąd już krok do śmielszej teorii synonimów. W tym przypadku cónimiu... Pani była dumna ze Sprytka, a kotka dawała dowód, że bracia mniejsi to nie jakaś tam bajeczka, a czarno-biała prawda wg św. Franciszka. Prawda spadająca zawsze na cztery łapki.

I... któregoś dnia Sprytka zniknęła. I kilka następnych dni nikt jej nie widział. Nawet marcowe jej eskapady nie trwały nigdy dłużej niż tydzień. Takie miała kocie zasady. Po siedmiu dniach umysł pani Stanisławy dokonywał już li tylko ścisłych detektywistycznych kojarzeń i analiz. Zostało ustalone ponad wszelką wątpliwość, że dzień w którym Sprytka towarzyszyła swojej pani na podwórku – to był wtorek. A wtorek to dzień targowy w Tykocinie, dużo przyjezdnych. Podwórko zaś było terenem przechodnim. Dedukcja śledczej pani Stanisławy płynęła jak Narew – logicznie od źródła do ujścia... Sprytka nie bała się ludzi, była ufna – łatwo ją było wziąć na ręce i omamiając pieszczotami, gdzieś zabrać. Lub jak mawia lud – do wora i jeszcze dalej wywieźć. Bo przecież z Tykocina nikt by jej nie kradł, zali by wróciła bez najmniejszego problemu. Aha! Musiał zatem to być ktoś z jakiejś wyjątkowo odległej wsi. Na wsi koty są ewidentnie potrzebne w stodole, w spichlerzu. W ogóle... I skutecznie spełniają tam swoje wielorakie role.

Sherlock Holmes mógłby się doksztalać u właścicielki kotki Sprytka. Zatem reasumując – kto tego feralnego wtorku przechodził przez to nie zagrodzone podwórko? – zastanawiała się pani Stanisława. I przewijały się postacie w fotograficznym albumie pamięci operacyjnej nieustępliwej śledczej S. I wychynęła nagle wielka postać znajomego z widzenia, chłopca ze wsi Pajewo – niejakiego Antonowicza. Tak! Przechodził... Powiedział dzień dobry i tak na tę kotkę, śpiącą, zwiniętą w kłębek – zdaje się dziwnie spojrzął... No tak, ale to porządny człowiek. Z drugiej strony patrząc, to skoro wszyscy są tak porządni, to z czymś jednak muszą do spowiedzi chodzić. A chodzą... I tu dni pani Stanisławy do najbliższego wtorku, zali dnia targowego, płynęły w utrapieniu i wewnętrznych dywagacjach. – *A jak ja Bogu ducha winnego człowieka oskarżę – no to mój grzech* – zadreczęła się prowadząca śledztwo.

Ale kiedy nadszedł wtorek i błędziła już po rynku szukając wydedukowanego sprawcy – to już jej domniemania i przypuszczenia graniczyły z jakimś enigmatycznym, acz pewnym przeświadczeniem, że tak – to on ani chybi.

- *Panie Antonowicz – czy pan w Boga wierzy?* – pytanie pani Stanisławy spadło niczym jastrzęb na kurę - na stojącego obok wozu pajewskiego chłopca. Poprzez zająknięcie wykrztusił coś na kształt – *no jak nie... pani Stanisłavo, a po co pani...* Tu natychmiast padło już konkretne myślowo obrobione konkretne polecenie. Przygotowany z precyzją prokuratorską – rozkaz: *ja żądam oddania mojej kotki, co ją dwa tygodnie temu...* (słowo ukradł nie chciało przejść przez gardło) - *...pan zabrał z mojego podwórka. Ona ma dzisiaj do mnie wrócić!!!* Chłop oniemiał. Zdumienie biło tylko z jego szerokiej twarzy. Ona odwróciła się na pięcie i z myślą - *Boże – może nie zgrzeszyłam – wróciła do domu. Ale już jakaś spokojniejsza po dwóch tygodniach intensywnych przemyśleń, podejrzeń i skojarzeń, dywagacji i niepewności.*

Kiedy dzwon na mszę wieczorną wyrwał ją z drzemki – poczuła, że przęcając grzbiet ociera się o zmęczone nogi – jej – nie kto inny – kocica Sprytka. – *A wybacz mu Panie Boże – pomyślała z wdzięcznością pani Stanisława.*

***Hemiparesis dex cum aphasia mixta...Insultus ischaemicus cerebri... To jest – afazja mieszana i masywny niedowład prawostronny...***

Trzynastka, która całe życie jak cień, szła za synem Tadeuszem, przesunęła w strefę cienia seniorkę Stanisławę. Trzynastego grudnia...

- *Basiu! Pomóż...nie mogę się podnieść* – to były ostatnie słowa do synowej, zanim pękające trajektorie krwi dokonały w mózgu nieodwracalnych zniszczeń. Katastrofa - delete osiemdziesięciu sześciu lat bogatego, pracowitego życia. Zapisu zbiorów już niedostępnych dla bliźnich i bliskich. Encyklopedii rodzinnej, kantyczek pastorałek i pieśni tak weselnych, jak z pogrzebu męża Franciszka, kompozycji łat kotki Sprytki, przepisu na bajeczne bułeczki z jagodami dla Konradka, receptury maści z pokrzywy i smalcu dla siostry Wacławy, pliku stałej, codziennej modlitwy za filozoficzne studia Jowitki i poezje syna Tadeusza, niepokoju o bojownika Solidarności Walczącej Witka, o sercu tak patriotycznym, że nie wytrzymało... Drugie serce...Ale i profesorowi Relidze też tylko połowa przeszczepów się przyjmowała...

I ostatniego, tragicznego, bolesnego faktu, że wczoraj dwunastego grudnia, pożegnała już swoje trzecie dziecko – syna Stanisława, któremu przez wirusy depresji – komputer zawiesił się... Jednoznacznie.

Niebieskie dobre oczy wyrażały bezbrzeżny smutek i bezradność. Czy coś kojarzyła? Czy poznawała kogoś? Zapewne tak, ale nie zawsze, a mniemać to nic innego jak mieć nadzieję, że los jaki cud odwróci. Już po wyjściu ze szpitala w Wejherowie, siedząc na wózku, seniorka Stanisława wpatrywała się w sugestywny obraz młodego malarza Pawła Kwiatkowskiego. Przedstawiał XVI-wieczną piękną, majestatyczną barokową bryłę tykocińskiej synagogi na zwiewnym tle wiosennego podlaskiego nieba.



- *Moja praca* – stwierdziła w głębokim zamyśleniu. Kochała swoją pracę, oprowadzała turystów i gości wokół bimy, wśród balsaminek, menor i tałasów. Tam przeżywała wizytę prezydenta Izraela Herzogiem, który wpisał do księgi pamiątkowej, że „tu czuje się obecność boga”. Zresztą rzecz by można to był krajan, bo urodzony niedaleko stąd, pod Łomżą. Parzyła kawę dla pianistki Hanną Czerny-Stefańskiej, która przyjechała z koncertem. Kilkanaście lat pracy – tu, w centrum świata, który był umarł w sierpniu 1941 r\*. Tu piętrzyło się rekwizytorium przysyłane z całego świata, jakby cień zadośćuczynienia za Holokaust, za to że byli tu. Byli od 1522 r., kiedy to pierwsi przyszli z Grodna, a w 1941 – ostatni odeszli na zawsze drogą do Łopuchowa...

- *Ciamaragojd* – to abstrakcyjne słowo stworzyła w swoim już świecie afazji i entropii. Jednak nie chciała objawić co to znaczy. To był drugi przypadek użycia słowa po udarze mózgu. Słowa, które jakby miało coś dla niej znaczyć. Uśmiechała się przy tym jakby tajemniczo i zarazem radośnie jak dziecko, któremu udał się żart z dojrzałej dookolności. Był jednak moment, kiedy ze świata zupełnie nam obcego i nieznanego, nagle jak barwna kometa pojawiła się w naszej codziennej przestrzeni. Ale tylko na odległość poezji. I aż na wymiar tejże poezji. Jowita potrafiła nawet po kilka godzin zabawiać babcię monologami i czytaniem. Absolutnie nieprzypadkową lekturą był „Wybór Poezyi” – (z portretem autora) Wincentego Pola. Wydanie drugie poprawione – Petersburg, Kazimierz Grendyszyński 1898.

*Tam świat inny, lud odmienny,  
Kraj zapadły, równy, senny,  
Często mszysty i piaszczysty;  
Puszcze czarne, zboża marne  
Niebo bledsze, trawy rzedsze.  
Rojsty grząskie, groble wąskie,  
Ryby, grzyby i wędliny;  
Lny dorodne, huk zwierzyny  
I kęs chleba w czola pocie –  
A na pański stół łakocie;*

Kiedy wnuczka czytała Polowe, patriotyczne pieśni o ziemi, regularne, surowe rysy babci wygładzał spokój bezwietrznej pogody leśnickiego łągu. Wilgotniejąc, nabierały blasku dobre niebieskie oczy, wpatrzone w skupioną twarz lektorki, w której żyłach pulsowało echo tej samej krwi. Młodego pnącza tej samej rośliny. Z tą samą linią nosa i charakterystycznym małym zygzakiem wyrozumiałego uśmiešku w kąciku warg. Miał to i prapradziadek Malinowski, miała i wnuczka

Stanisławy. Strofy o dziedzictwie Gedymina działały na nią skuteczniej niż medykamenty - mononit & vicebrol. Kiedy po kwestii: *Gdy na lud ten człek spoziera, To aż serce żal opłynie, I zapytać chęć go zbiera:*

- czytająca zrobiła pauzę na tyle długą, by ku niepomiernemu zdumieniu nagle niespodziewanie, czysto i płynnie wyartykułowane z ust wzruszonej rekonwalescentki – usłyszeć rym z dopełnieniem:

**- *Co ci to Litwinie?***

Tylko poezja była kluczem do jej zrujnowanej pamięci. Tylko poezja. I taką na zawsze pozostanie w pamięci i wierszu:

***(-) Ciągłe widzę Cię jak stoisz w gdańskiej Zielonej Bramie.***

***Uśmiechnięta.***

***Przechowuję jak relikwię Twój igielnik w kształcie serca. (-)***

***Tadeusz Buraczewski***

\* - Holokaust tykociński

## Ùbëtk

Je dzes taczi môl, dze wszëtkò je jinaczi. Jinaczi, jak tu czë tam... Na pierszé czëcé, bë sã mògło zdawac, że je to ju zabëti szum wiatru, wòdë ë lasu. Jacziz stòri zwãk, co jész dzes sã niese, abò wòniò nieznónégò kwiata ë czasu. Zdawac bë sã mògło, że nick sã tam nie dzeje, a pòstãpù cywilizacje ni ma co szëcac w ti zaczarzony kròjnie. Chtos rôz dôł, ny snòzi kròjnie, pòzwã Bałszëbë, a jinszi czasã gòdalë *Kaszkanë*, ale wcyg bëła to zwada ùczalëch profesorów, chtërny nawetka z nã kròjnã nick nie miele pòspólnégò. Równak lëdze tam żëjący wiedno swòjã kròjnã nazëwalë *Domòczna*.

*Domòczna* bëła Zemiã midzë Mòrzama, chtërne òbkrëzowalë całã kròjnã ë parłãczilë sã we Wiòldzich Wòdach. We westrzòdkù kròjnë rosłë drzewiãta w stòrëch, zaczarzonëch bòrach Wiòldzégò Pralasu, a na samym westrzòdkù ny dzëwiznë cygnãł sã mòli sztremelk gór, ò chtërnëch lëdze baro mało wiedzëlë, ale na jich témã mielë wiele pòwiòstków. Midzë Pralasã a Wòdã cygnãła sã Sëchò Zemia, chtërna z Pralasã dërch biòtkowała ò nowi plac dlò se, a téz pòwałowónò zemia, chtërna zamieszkiwalë lëdze. Lëdze, jaczi tam żëlë bëłë z jednégo rodu – Słowianów.

Słowianowie żëlë dosc prosto. Òb całi rok zajmòwalë sã robòtã, chtërna nie bëła równak jich całim żëcym. Nòbarzi ùlubilë so òdpòczink ë mùzykã. A do òdpòczinkù leżnoscë bëło dosc wiele, przë czim spiëwalë stòrã frantówkã ò òdpòcziniam:

*Chcemë le sã bawic!  
na zòczãtk rokù ë kòzdzégò miesãca,  
co drëgã sobòtã ë co niedzielã,  
na kòzde swiãto sëdmë dniów wierã,  
gebùrtstach, jimieninë, roczëznë ë wiesela,  
bò robic ni ma co, ë przë pòtkanim drëchã,  
na zasëw, òzniwinë, bãksa ë pólterabend,  
na kùnc żebë skùnczëc ë na wieczi wieków amen.*

Ë pò pròwdze tak ùbëtno wëzdrzało jich żëcé. Wszëtcë razã robilë przë swòjji robòce – maszopi przë łowienim rëbów, gbùrzë na pòlach ë w sadach, lesny ë rãbcowie w lasach, łówczi na jachtach, rzemiãsnicë w swòjëch warstatach a kùp-

cowie na kùpieccich szlachach. Kòzdi miòł do zrobieniégò swòjã robòtã ë dzãka wëspòłrobòce mògl spòkòjno zëc. A czej ju robòta sã kùnczëła, czej przëchòdało jaczis swiãto, abò jinszò leznòta do zòbawë, tej wszëtcë sã zbieralë ë przë zwãkach jinstrumentów bawilë sã dłudzé gòdzënë kòł wiòldzich trzonów.

Žëcé tëch lëdzy bëło ùstawioné tak, jak jima wiodro ë zmianë nòtërë pò-pòzwòliwalë. Stòri Słowianowie wiedno wiedzëlë czedë trza z czim rësżëc do ro-robòtë, a czedë je nót skùnczëc. To òni wiedno wszëtczim na wsach czerowalë ë ùczëlë młòdëch, co mają robic, zebë wszëtkò ùkładało sã zgòdnò z òdwiëcznym pòrzãdkã. Ùczëlë jich tak, cobë mògle spòkòjno robic, a téz bawic sã wszëtczim, co jim nòtëra dòwała. Pròwdã gòdajacë, Słowianowie rozmielë bawic sã nawetka kòł robòtë! Spiéwalë, pòwiòdalë so szpòrtë, smialë, czasã nawetk tuńcowalë, czë na pòlu, czë w lese, na wòdze, czë w warstatach ë na szlachach. Wieczorama zb-zbieralë sã w chëczach czë karczmach ë bawilë nawetk bez szpecjalny leznoscë. Bialczy pludrowalë so spòkòjno midzë sobã ò młòdëch, młòdi bawilë sã przë mù-zyce, a knòpi do dzëwczãtów pò kùszka sztartowalë. Czasã jaczi chłop wzał swòjã biòlkã wkòł do tuńca, a tej dali gròł z jinszima w kòrtë ë szpòrtowòł ze wszëtczëg-ò. Dzecë sadiwalë kòł ópów ë czëlë jich bójczy ò Wiòldzich Lëdzach, co czedës zëlë w Wiòldzim Pralasu, ò jich wiòldzi mòcë ë nieskùnczonym krafce. Bëlë tak wiòldzi, że całã kròjnã òbińc mògle blós w 2-3 dnie, zanòlëżno òd tegò, czë chëcało sã jima òdpòczac pò drëdzi starnie kròjné, czë zarò szlë dali. Nawetk ti Wiòldzi Lëdze lubilë so òdpòczac, czej blós mòglë. Bëlë téz bójczy ò przëtròfkach lubicz-ków, chtërne wiedno sã szczestlëwò kùnczëlë wiòlgã miłotã. A chtos bë pòmësz-lòł, że zëcé jich bëło nudné, bez przëtròfków ë jinszych czekawëch sprów... Ale tak nie bëło. W tamti kròjnie wiedno sã lëdzóm bëlno zëło, a wszëtcë bëlë szczes-tlëwi z tegò, co mielë. Na pùstkòwiu, òstòł pò tim dzes, blós malinczi szlach, blós zabëtò wòniò, blós stòri zwãk.

*Matéusz Tütës Meyer*

Lewinkò, 16.9.10

## Zapisane jutro

Pasja powinna urodzić się z człowiekiem. W moim przypadku było to jak związek drzewa z korzeniami - bez siebie nie przetrwają. Powinnam zacząć od tego, że pasja dorasta powoli, próbuje przybliżyć nieznanne, wypełnia pustki te widoczne i te brane trochę na wyrost z nadmiernej wrażliwości. Jednak najistotniejsze jest to, że pasja dla typowego posiadacza jest czymś szczególnym, a w swej szczególności jest niezwykle piękna, spokojna, oraz dostarcza całą gamę doznań, których nazywać nie trzeba. Czasami zastanawiam się, jak wyglądałoby życie, gdyby połączenie człowieka z pasją zależało od konkretnej daty narodzin. Czy świat byłby mniej kolorowy, a może mniej czarno-biały? Na pewno jakaś część tego wymyślnego świata byłaby zmęczona nudą. Nie każdy urodzony np. 28 lutego ma predyspozycje do uprawiania konkretnej dyscypliny sportu. Ja nie mam i wcale nie żałuję, bo zawsze, kiedy spoglądam w szare, smutne niebo, widzę te gwiazdy, które rozjaśniają mój codzienny mrok. Czy kiedyś ich dla mnie zabraknie?

Nie jestem geografem w żeńskim wydaniu, egocentryczną wielbicieleką ekstremalnych wyczynów, ani opanowaną panią fotograf, która po raz kolejny uchwyciła w kadrze to, co ulotne. Jestem świadkiem rodzinnej tradycji, która przechodząc przez pokolenia dotarła do mnie w dość zdeformowanej postaci. Nie oznacza to, że mam pasję po rodzicach, albo że odziedziczyłam ją w spadku po pradziadku. Po prostu jest we mnie, choć wszystkie jej kształty po głębszej analizie mogą wskazywać jednoznacznie źródło istnienia. Kiedyś ktoś z dalszej rodziny był żeglarzem, ktoś inny pilotem samolotów. Był też kartograf, ekolog, rysownik geograficznych odkrywców, miłośnik powieści akcji osadzonych gdzieś w nieodkrytych puszczech dzikich łądów. Pierwiastek wspólny z przemierzania odległości, zamiłowania do przyrody, fascynacji nieznanymi krajami oglądanymi nie tylko na stronach map świata jest dokładnie jeden. W ten sposób ja - urodzona w roku Czarnobyli mam swoją pasję. I chociaż nie mogę konkurować w zagranicznych, odległych wojażach z Martyną Wojciechowską, moja pasja jest równie wielka. Kocham podróże. Wszystkie. Te spontaniczne i te planowane z precyzją zegarmistrza, krajowe i te po obcych ziemiach, bez wyjątku. Fascynacja poznawania nie ma granic. Niby wszędzie jedno słońce i chmury, a jednak w każdym zakątku zadziwia inaczej.

Jeżeli miałabym wskazać coś, co jest związane z podróżowaniem i czego nie lubię, bez wahania odpowiem: pakowanie!! Wszystko można jakoś zrekompensować, nawet wielogodzinną jazdę w niewygodnej pozycji. A w przypadku pakowania żal pozostawienia w domu rzeczy, która może się przydać nie znika nigdy, tym bardziej, że jest poparty sporym doświadczeniem. Teraz nie było inaczej.

Wróciłam w piątkowe popołudnie do domu jak zwykle zmęczona i jak zwykle ze stanowczym postanowieniem gruntownego sprzątnięcia. Odkąd przejęłam stanowisko szefa głównego projektu badawczego firmy mój dom spełniał funkcje hotelu. Brakowało mi tylko sprzątaczek, kucharki, zakupów, a przede wszystkim czasu, żeby to wszystko ogarnąć. Nic więc dziwnego, że w kalendarzu nierozsądnie przepełnionym obowiązkami nie zauważyłam zaplanowanego weekendu. Przypomniała mi o tym dopiero wiadomość na automatycznej sekretarce od K. Dziś o 18 brzmiała informacja, która doprowadziła mnie do szaleńczego pędu poszukiwania ulotki, którą kiedyś mi dał. Nie było łatwo, śmieci powiększały znacznie chaos panujący w domu. Próbowałam sobie przypomnieć, jakie ustronne miejsce K wybrał tym razem. W końcu w moje trzęsące się dłonie wpadła zniszczona już kartka. Przez wyschnięte ślady kawy nie zdołałam nic przeczytać, ale mimo to dostrzegłam, że druk jakby nie współgrał z rysunkiem. Niekompetentny wykonawca ulotki czy wizja szalonego artysty- wydawało mi się to wtedy mało ważne. Pobiegałam na górę z nadzieją dokonania czynu prawie olimpijskiego, jakim jest zamknięcie mojego potrzebnego świata w walizce. Za dużo ubrań, książek, rzeczy..., a to wszystko otoczone niewidzialną nicią sentymentu tak silnego, że proces selekcji i pakowania przebiegał zawsze długo i był nadzwyczaj męczący. Próbowałam się nie denerwować, kiedy czas wyjazdu zbliżał się nieubłagalnie, a ja wciąż klęczałam nad otwartą walizką wypakowując wszystko to, co w danej chwili straciło status: "Niezbędne". Powinnaś mieszkać w przyczepie – powiedział kiedyś K, baczny obserwator moich poczynań, gdy kolejny tom *Powieści Niezwykłej* nie zmieścił się wtedy w bagażu podręcznym. Tym razem zdążyłam na czas, co jednak nie było wynikiem zorganizowania ani samodyscypliny jak się później okazało, tylko najzwyklejszym dziełem przypadku. Ale czy nie są miłe te wszystkie przypadki, dzięki którym można ukryć coś krępującego w swoim charakterze, zyskując przy tym 30 minut na wybory dotyczące garderoby? O 18:30 K przyjechał z zakupionym na stacji olejem i wyruszyliśmy w kolejną podróż w nieznaną, tym razem po polskiej ziemi.

Nie mogłam ukryć zdziwienia, gdy po kilku godzinach jazdy zatrzymaliśmy się przed wysokim drewnianym płotem gdzieś pośrodku lasu. Uwielbiam las, jego siłę i potęgę mierzoną pniami i konarami drzew, a przede wszystkim niesamowitą ciszę, która ukołysze do snu zdenerwowanie i złość. Wyglądało tak prawdziwie bajkowo, a to jeszcze nie był punkt kulminacyjny całego skansenu. Wydawało mi się, że po tym wszystkim co zobaczyłam kiedyś gdzieś na różnych krańcach świata, żadne inne miejsce na ziemi nie będzie miało duszy piękniejszej od tej kaszubskiej wsi.

Zdecydowana na poznanie nowego piękna ukrytego za ogrodzeniem, trochę z wymuszoną siłą nacisnęłam klamkę potężnych drewnianych drzwi i nieśmiało zajrzałam do środka. Na pierwszym planie ukazała się budowla niezwykła w swojej konstrukcji, bo za fundamenty i silną podstawę domu uznano dach. Cała reszta również była symetrycznie odwrócona do góry nogami. Z daleka wyglądało to jakby niezbyt wysportowany wielkolud stał na rękach demonstrując swoją siłę. Podchodząc bliżej zastanawiałam się, co przeważało w tym połączeniu człowieka z pasją. Nieograniczona fantazja, niewyobrażalna precyzja czy może zamiłowanie do pracy w drewnie. Jedno było pewne, projekt im bardziej oddziaływał na emocje tym bardziej zasługiwał na podziw. Postanowiłam pójść w ślady innych zwiedzających i trzymając się linek weszłam do środka. Nie wiem zupełnie jak opisać to, co się działo, ale przeszywało zebranych dekoncentracją i lekką paniką w każdej postaci. Siły grawitacji zdecydowanie nie działały na wyposażenie wnętrza domu, a nogi jakby nie współdziałały z ośrodkiem ruchu, dlatego nawet zwykłe chodzenie było nie lada wysiłkiem. Nie przyznano mi nigdy orderu za odwagę, ale kiedy zobaczyłam schody prowadzące na górę nie zastanawiałam się ani chwili. Kiedy przekroczyłam próg pierwszego piętra usłyszałam, że ktoś wołał moje imię. Spojrzałam przez otwarte okno. Nagle jakaś wielka płachta nieokreślonego materiału owinęła mi się wokół szyi i próbowała mnie dusić. Resztkami sił w akcie desperacji chciałam się jak najszybciej uwolnić i zbiec do wyjścia. Nie mogłam. Zawroty głowy, które towarzyszyły mi od momentu wejścia do domku były zbyt silne. Poczułam, że nie dam rady, że nic nie mogę zrobić. Minuty wlekły się w nieskończoność. Próbowałam walczyć z napastnikiem, kiedy nagle ktoś gwałtownie chwycił mnie za ramiona. To był K, a obok niego zupełnie spokojnie wisiła wielka zasłona, której nie widziałam przy wejściu na piętro, a która pod wpływem wiatru i mojej nadmiernie wybujałej wyobraźni była tym groźnym przeciwnikiem o śmiertelnych zamiarach. Wyszłam z domku z lekkim uśmiechem na twarzy, ciesząc się w duchu, że świadkiem tej przekomicznej sceny był tylko mój K. Na zewnątrz piękne, ale słabe jeszcze słońce. Niech wszystkie mieszcuchy zazdroszczą tego świeżego powietrza, przecudnych widoków. W mieście blokowisk i asfaltów taka natura to jak gatunek wymarły. A tutaj niezmacony niczym spokój gratis do dwuosobowego apartamentu. Tylko korzystać, gromadzić w pamięci obrazy z harców przyrody, z brzęczenia najmniejszych stworzeń, z wyścigu ślimaków w konkursie o najpiękniejszą muszlę. Korzystać z plonów ziemi, pięknej ziemi. Z głębokiego zamyślenia, refleksji nad otoczeniem wyrwało mnie przekonujące zaproszenie na obiad. Nie byłam szczególnie głodna, ale widok wiejskiego jadła robił wrażenie. Wystarczyło skosztować choć odrobinę, by poczuć niesamowity smak i zapach. Drewniany stół obfity jedzeniem zdrowym, to nie ulegało żadnym wątpliwościom.

Nie pamiętam ile razy użyłam wyniosłych przymiotników do określenia wszystkiego, co zasługiwało na jakąkolwiek nutę zachwyty. Chciałam tak wiele

zapamiętać z tego miejsca, tak wiele cudownych wrażeń poupychać w szczelinach pamięci, by móc później taki bukiet doznań przeżywać na nowo. Z tymi samymi ludźmi otwartymi na prawdziwą przyjaźń, gotowymi pomagać z wzajemnością.

Przypomniała mi się historia pewnego biedaka, który za cały swój dorobek uważał jedno małe drzewko, które nawet nie przynosiło owoców. Nie było ani ładne, ani silne. Nie chroniło też przed słońcem. Ludzie śmiali się z biedaka, że ma głowę tak pustą jak pień jego drzewa, bo nawet życie dłuższe o jeden dzień nie jest warte tego, by chronić wątłą roślinę. Biedak zdawał sobie sprawę, że on i jego drzewo w oczach mieszkańców to jedno wielkie zero. Właściwie dwa zera, które z matematycznego punktu widzenia też nie znaczą nic.

Mimo wszystko biedak dzielił z drzewem cały swój czas, dzielił z nim resztki wody jakie oszczędzał w czasie suszy. To był jego świat, jedyny jaki posiadał. Pewnego dnia do biedaka przyszedł właściciel ziemi, na której rosnęło drzewo. Zażądał od biedaka, żeby wyciął drzewo. W głębi duszy wiedział, że biedak nie pozwoli tego zrobić więc przygotował zawczasu intrygę. Polecił biedakowi wykonać pewne zadanie w zamian za ocalenie drzewa. Biedak niechętnie się zgodził. Obawiał się, że wykonując polecenie właściciela ziemi ryzykuje życie, jednak nie miał wyboru. Tego dnia drzewo czuło bliskość biedaka po raz ostatni. Nikt nie wiedział, co spowodowało, że właściciel ziemi nie zrealizował swojego planu. Mijały lata, drzewo wciąż rosło i rosło. Niektórzy mówili, że czubek drzewa sięga nieba, a na samym jego szczycie siedzi biedak i wciąż opiekuje się swoim drzewem.

Zastanawiałam się, czy drewniany stół nie jest deską ze ściętego drzewa należącego do biedaka. Jakże człowiek ma szansę zrozumieć i poznać to, co przed laty nie zostało zapisane, a nosi w sobie fragmenty historii. Chciałabym zrozumieć szepty wiatru. Spisać długie opowieści morskich fal o zatopionych statkach, o poszukiwaczach przygód, o tym wszystkim, czego wyobraźnia nie jest w stanie pomieścić, a rozsądek uznać za prawdziwe.

Pasja jest ukryta tak głęboko w duszy, że nie każdy może ją zauważyć i przygarnąć do siebie jako stałego mieszkańca. Pasja może zniknąć, gdy poczuje się niechciana, może nie rozwijać skrzydeł, może odejść na zawsze i zmienić życie człowieka. Nie ważne kim jesteś z wykształcenia, a kim z rozsądku. Pasja jak nadzieja umiera ostatnia, albo w ogóle nie umiera, przynajmniej w opowieściach.

Zerknęłam po raz kolejny na nowy katalog przysłany przez biuro podróży. Tak naprawdę nie pamiętam, o jakiej wycieczce wtedy marzyłam. Oferty wyglądały podobnie. Na każdej stronie wypisane jaskrawymi kolorami promocyjne hasła, wklejone zdjęcia najpiękniejsze z możliwych. Dalej szczegółowe oferty, tworzone jakby w grupach wspólnie dla kurortów nadmorskich, wyjazdów w góry. Tylko



położenie geograficzne się zmieniało, co było oczywiste nawet dla przeciętnego podróżniczego laika. I wtedy właśnie zrozumiałam, czego potrzebuję. Szukałam miejsca z duszą.

Kilkanaście razy przewróciłam kartki kalendarza zanim na jednym z pustych pól zauważyłam zapisane niedawno słowo - Szymbark. Znowu tam pojedziemy, tam kiedyś będzie nasz dom.

*Anika Wojewska*

## Moja Wojvodina - z podróźniczych notatek

Było dokładnie tak, jak w telewizyjnej, sprawiającej trójwymiarowe wrażenie reklamie soków owocowych albo warzywnych przetworów - bujne i pachnące plony były wszędzie, rozprzestrzeniły się aż po turkusowy horyzont. Plastry miodu mieniły się złotożółtym blaskiem, gładkie i jędrne morele wdzięczyły się słodko do leżących obok pękatych niebieskawych śliwek; winogrona, chociaż zerwane, wciąż dojrzewały, na prawdę dojrzewały w oczach. Taki przepych widziałam już wcześniej - moja świętej pamięci babcia Terenia dekorowała czasami stół pod rodzinny obiad sztucznymi owocami, o nienaturalnych rozmiarach i zbyt jaskrawych barwach. Owoce te mieszkaly wszystkie razem w niewielkim koszyku, skąd przy najdelikatniejszym przesunięciu obrusa wypadały i toczyły się niezgrabnie między rosółowymi półmiskami, kompotowymi szklankami, kartoflowymi talerzami. Dlatego pierwsze moje skojarzenie, gdy wysiedliśmy z nowosadzkiego busika na przystanku w Irigu i ruszyliśmy w stronę gospodarskich zabudowań, było przesadnie pomarańczowe, jak pusta w środku brzoskwinia, było ciemnoczerwone, jak plastikowa truskawka i nieodparcie słodkie, wręcz klejące, jak najprawdziwsza gruszka, jak najświeższy miód.

Później było nie tylko, jak w reklamie, ale jak w interaktywnej grze komputerowej, w której postawiono niewykonalne zadanie: przejść obojętnie obok pysznych straganów, gdzie dla utrudnienia umieszczono sugestywnych handlowych romantyków, dobre babcie z bajek dla dzieci, ogrodowe nimfy oraz śpiewające pszczoły. Gra komputerowa... Kogo winić za to, że jako środkowo - zachodnia Europejka, chociaż porażona bodźcami zmysłowymi, które na co dzień tłumione są przez cyfrowe sekwencje, wszelkiego rodzaju instrukcje oraz automatyczne polecenia, wciąż porównywać muszę piękno świata do tworzyw sztucznych oraz obrazów z monitora? Może tego, kto sprawił również, iż doświadczenie tak nagłej i obfitej życzliwości, jaka spotkała mnie na Bałkanach, wydało mi się raczej nieracjonalne, oniryczne, na pewno absolutnie bezprecedensowe. Tam jest to normalne, jak orzechy pukające z plotkami do okna, opery cykad, murmurando winnicy. - Posmakujcie! Posmakujcie!

Czy to wołała przemiła pani, w pstrej chustce na głowie pomimo czterdziestostopniowego upału, uśmiechająca się i mrugająca wciąż młodymi, wciąż głębokimi, jak południowosłowiańskie przemyślenia i nadzieje oczami koloru kory wiekowej jabłoni, która rosła nieopodal i śniła o zamierzczłym majestacie tego re-

gionu? A może głos dobiegał z bordowego ogrodu, znaczonego zielonymi refleksami, z małego bladoróżowego domku, otoczonego powykręcanyimi, jak ścieżki Pruskiej Góry, krzewami?

- Czy to orzechówka? - pyta mój mąż po polsku, ale za odpowiedź wystarcza dźwięk otwieranej butelki z grubego szkła. Już sucha, drobna dłoń gospodyni podaje zdobiony wiejskimi motywami kieliszek wypełniony bursztynowym, lekko czerwonawym płynem. Bywa, że słowa okazują się niepotrzebne.

Obszar północnej Serbii, zwany Wojwodiną, od setek, a nawet tysięcy lat słynie z żyznych gleb i sprzyjających rolniczym uprawom warunków atmosferycznych. Kraina ta to prawdziwy wszechświat, raj dla gospodarzy, myśliwych, rybaków. Ma swoje własne galaktyki, wystarczy spojrzeć na bezkresne słonecznikowe pola, w których z pozoru chaotycznie rozsiane ogniowe kule przyciągają miliony brzęczących orbit, metalicznych małych komet, skrzydlatych fruujących meteorytów — pszczoły, ważki, muchy, motyle. Szliśmy przez ten kosmos doznań wąską jak dłoń dróżką w poszukiwaniu monasteru Staro Hopovo. Zatrzymała nas kapłanka tego miejsca, polna wróżka pod postacią dzierganej na szydełku, żółtej, jak płatek słonecznika staruszki, która rozłożyła przed nami tobolek pełen skarbów - świeżo zebranej fasoli, drobnych jak koraliki winogron. Narzekając trochę na pogodę, która topiła nasze myśli egzotycznym wręcz skwarem, opowiedziała szybko o tegorocznych żniwach, gryzących muchach, palącym słońcu i ciężkiej pracy. I już nie pamiętam, czy rzeczywiście napomknęła coś o tym, że nawet za góry brylantów nie przeniosłaby się do miasta, czy tylko słowa te wygrały rachityczne modliszki na gigantycznych akacjowych strąkach, którymi usiana była buromiedziana miedza. Teraz, gdy wspominam naszą magiczną podróż do Serbii, ze szczególną adoracją Wojvodiny, widzę pola arbuzów. Wyglądają, jak uczestnicy przeogromnej, organizowanej niebywałym rozmachem imprezy plenerowej. Kierują swoje puciołowate twarze ku rozleniwionemu słońcu, zdają czekać na jakiś punkt kulminacyjny, ale wokół słychać tylko jednostajne buczenie owadów, kwietny szelest, w oddali zaś - nawoływania rolników i ich kobiet, samotne poszczekiwanie psów, warczenie maszyn. Stoję na skraju tego rozpalonego absolutu i dociera do mnie, jak niewiele tutaj się dzieje, jaki spokój rozplywa się na tęczęwce staro winki siedzącej przed pobieloną chatką, do której przyrosły chropowate grusze; z jaką bezgłosną gracją przefrunął rudoszary ptaszek z kolby zeschniętej kukurydzy na pęd winorośli.

Na dziedzińcu maleńkiego monasteru Staro Hopovo spacerowały cztery tłuste kaczki. Gospodyni poprosiła mnie, żebym zakryła ramiona chustą, patrzyła też podejrzliwie na mojego męża. Zaprosiła nas jednak do niewielkiej cerkwi i opowiedziała tam o cudach, jakie wymodlili żarliwi wyznawcy Matki Bożej dla siebie, rodzin, wsi, dla swojego narodu. W monasterze Staro Hopovo, jak powiedziała nam kobieta, mieszka na stałe czterech mnichów. Nie jeżdżą nigdzie, bo mają gęsty ogród i łaskawe gospodarstwo, które ich karmi. Mówiła nam, że są

szczęśliwi i to im wystarcza. Jak jej nie wierzyć, wszakże to właśnie tam czuje się dotyk Boga. Przecież to właśnie tutaj jest tak cicho, że bez trudu słyszę - to dzieje się wszechświat.

*Maria Block*

## **Belgrad – Praga – Warszawa**

*Antysielanka. Antyopowiadanie.*

Dworzec autobusowy Praha Florenc. Trzecia nad ranem. Pusto i ciemno. Sama nie wiem, czy bardziej pusto, czy bardziej ciemno, obce miasto w nocy jest nie do ogarnięcia. Żarłoczny mrok w kilka chwil wsysa moich współpasażerów, blade rozbłyski latarni nie są w stanie rozświetlić ogromnego parkingu. I jeszcze ta godzina, o której co najwyżej wraca się do domu lekko chwiejnym krokiem, a nie gubi z trudem uchwycony sen, wychodzi z ciepłego autokaru prosto w chłód, bierze ciężki plecak na ramiona i rozgląda bezradnie dookoła. Stoimy: ja i Bułgar, jak dwoje zagubionych w lesie dzieci. Wczoraj chodziłam pachnącą papryką ulicą Kaleniciewą, jutro wsiądę do tramwaju przy Dworcu Wileńskim, ale dziś...

Wczoraj zjadłam pleskawicę w „Znaku zapytania” i poszłam na Kalemegdan po raz ostatni popatrzeć na Dunaj i Sawę. Była niedziela. Obok, gdzieś w głębi parku, grała muzyka. Wiedziałam, że tam tańczą kolo i piją rakiję i zrobiło mi się smutno z powodu wyjazdu. Zeszłam do kaplicy świętej Petki, żeby w grotach zapalić dwie świece – jedną za żywych i drugą, po namyśle, za umarłych. W akademiku przyjaciele urządzili mi pożegnalne przyjęcie. Piliśmy Vranac i morelową rakiję. Pomyślałam, że uwielbiam smakować ten kraj, jest jednocześnie ostry jak urnebes, słodki jak bakława, wielobarwny jak szopska sałatka...

Jutro założę buty na wysokim obcasie i krótką sukienkę. Będę przechadzać się tam i z powrotem Chmielną i Nowym Światem, rzucę okiem, jak wystroili się inni, czy ładnie opalili się podczas wakacji w Sopocie, a potem wypiję kawę w jednej z tych modnych kawiarni. Moje rodzinne miasto – najpiękniejsze i najukochańsze ze wszystkich

Dziś idę ciemną ulicą, której nazwy nie znam.

W Warszawie wyczuwalny będzie już aromat suchych liści. Ostatni po-wstańcy wyjdą z kanałów przy Placu Krasińskich. Jeszcze kilka tygodni i, jak co roku, pójdę na Powązki zapalić znicz na grobie Baczyńskiego. Nad mglistym cmentarzem uniesie się ognista łuna.

W Belgradzie mężczyźni w kafanie śpiewali, że Kosowo Pole znowu jest serbskie. My, Słowianie, kochamy na zabój nasze ojczyzny i specjalizujemy się w spektakularnych porażkach.

Oczywiście wiem, że przeszłość i przyszłość nie istnieją. Jest tylko teraźniejszość, w której idę pustą, praską, bezimienną ulicą i marzę o znalezieniu się w którymś z tych miast, gdzie każdy krok mogę postawić w sposób pewny i określony. W teraźniejszości dostrzegam kręcący się na ladzie ponurego baru wiatraczek. Niepewnie popycham drzwi. Dziwię się, że są otwarte.

Ja i Bułgar siadamy przy stoliku. On zamawia kawę, ja piwo, czym wywołuję zgorzienie barmana. Nie rozmawiamy z Bułgarem za wiele, bo nie możemy znaleźć żadnego wspólnego języka. Udaje mi się jednak dowiedzieć, że jest biznesmenem i że chce przez Polskę dostać się do Szwecji, którą zamierza zwiedzić. Wiem, że kłamie i on wie, że ja wiem, że on kłamie. Uśmiecham się do niego. Mimo wszystko cieszę się, że jest tu ze mną.

Nad Pragę powoli wstaje świt. Wychodzimy z Bułgarem z baru i idziemy na główny dworzec kolejowy. Sprawdzamy pociągi do Warszawy, następny jest dopiero późnym wieczorem. Czeka nas cały dzień w obcym mieście. Zostawiamy bagaże w przechowalni.

Miasto za dnia nie wydaje się już tak nieprzyjazne. Idziemy Mostem Karola. Przystajemy w miejscu, z którego święty Jan Nepomucen został wrzucony do Wełtawy.

- Przez każde porządne miasto płynie jakaś rzeka – mówię.

Bułgar śmieje się i tłumaczy, że przez centrum Sofii żadna rzeka nie przepływa.

W Wiśle nie utopił się żaden święty, ale kilku powstańców z pewnością. Wypatrując z nadzieją i rozpaczą na drugim brzegu czerwonej zarazy, ginęli, nie zaznawszy nawet życia lub może zaznawszy go zbyt dobrze. Dziś Wisła jest szara. Tam, gdzie mieszkam, nocą latają nad nią nietoperze.

Raz wybraliśmy się z przyjaciółmi łódką na Adę Medjicę. Sawa trochę opadła, można było pospacerować po tej bagnistej wysepce. Wygrzewaliśmy się na pomoście i moczyliśmy nogi w rzece. Milan opowiadał o bombardowaniu pobliskiej elektrociepłowni. Słuchałam go, jak człowieka, który przeniósł się do mnie z przeszłości. Gdyby tak ktoś z jakiś powodów niszczył moje miasto?

Co innego Dunaj, pomoczyć nogi w Dunaju, to już większa sprawa. Do tego trzeba być co najmniej średniowieczną twierdzą z białego kamienia. Golubac, rok tysiąc czterysta dwudziesty ósmy... Zawisza Czarny z Grabowa, ten sam, który pod Grunwaldem uratował królewski sztandar, nie chce uciec z twierdzy przysłaną przez cesarza łodzią. Janczar wyciąga jatagan i obcina mu głowę...

- W historii wciąż wrze, gotuje się i miesza, jak w jakimś gigantycznym kotle – rzucam w przestrzeń.

- Kotle bałkańskim? – pyta Bułgar. Jedno jego oko błyszczy po cygańsku, drugie mruga z turecka. Jego zgrabna, mocna dłoń, odziedziczona po jakimś onogurskim przodku, gładzi w zamyśleniu jasną, słowiańską czuprynę.

- Ludzi rzuca po świecie, a potem kłócą się, kto był pierwszy, kto ważniejszy, kogo więcej, po czyjej stronie jest prawo i słuszość...

- Jak można to rozwiązać? Pozostaje siedzieć w domu.

- Siedzenie w domu jest nudne i niedochodowe.

Milczymy, spoglądając to na nurt rzeki, to na rojących się na jej brzegach turystów. Przypomina mi się pewna rozmowa w kawiarni serbskiej biblioteki narodowej:

- Ale Pomorze to nigdy do was nie należało... Dostaliście je po drugiej wojnie kosztem Niemiec. I zawsze mieszkali tam Kaszubi, a nie Polacy...

- Taak?! – oburzam się śmiertelnie. – Skoro Pomorze nie należy się Polsce, a Kaszubi nie są Polakami, to Kosowo jest albańskie, a Czarnogórcy nie mają nic wspólnego z Serbami!

Ja i mój rozmówca obrażamy się na siebie. To jakiś starszy człowiek, inni nazywają go profesorem, być może powinien okazać mu szacunek, ale jest mi wszystko jedno. Dyskurs narodowościowy, tak jak i religijny, jest poza wszelką racjonalnością.

Idziemy z Bułgarem na Hradczany. Uliczny grajek śpiewa piosenkę o trzech różach rosnących w ogródku: czerwonej, białej i niebieskiej. Czy to te same kwiaty, z których jedna mała Serbka wiała wieniec na Kosowie?

Obchodzimy dookoła katedrę świętego Wita. Bułgarowi się nie podoba.

- Za dużo tu tych dziwacznych stworów. One są takie diabelskie, nie rozumiem, co to ma wspólnego z Bogiem.

- Mówisz o gargulcach? – dziwię się.

Dochodzi południe, jesteśmy już trochę zmęczeni. Za ostatnie pieniądze kupujemy coś do jedzenia i idziemy do parku. Muszę w duchu przyznać, że praskie parki są wyjątkowe. To właściwie nie parki, tylko sady – fragmenty wiejskiego krajobrazu niespodziewanie uwiecznione w pułapce miejskich murów. W każdym pod ciężarem owoców ugina się owocowe drzewko. Wystarczy sięgnąć ręką i cieszyć się soczystą gruszką lub jabłkiem.

Myślę o drzewach w innych miastach. Belgrad lubi platany. Można je często spotkać na południowym wschodzie Europy, ale takich, jak w Topcziderze przed dworem księcia Miloša Obrenovicia nie widziałam nigdzie. A Warszawa? Oczywiście kasztanowce! Ich gałęzie stuknęły w okna liceum, mój wzrok chętniej wgłębiał się w ich zieleń niż w zawile, chemiczne wzory na tablicy. Potem zaglądały mi przez ramię, gdy czytałam książki na placyku przed wydziałem. Ach, i magnolie przed starą, uniwersytecką biblioteką! Ich bladoróżowe kwiaty było nieomylnym znakiem, że idzie wiosna, sesja i wakacje.

- Ciągłe się nad czymś zamyślasz – irytuje się mój towarzysz. Ze sposobu w jaki patrzy na moje usta odgaduję, że od pewnego czasu chętnie porozmawiałby ze mną na tematy bardziej przyziemne.

- A, tak tylko sobie tęsknię – mówię mu z nadzieją, że to krótkie stwierdzenie ostudzi wszelkie jego zapały.

Kładziemy się na ławkach. Bułgar natychmiast zasypia i okropnie chrapie. Kątem oka obserwuję, jak ludzie karmią kaczki, rozkoszują się ostatnimi ciepłymi dniami. Potem szukamy dla niego noclegu. Bułgar chce zostać w Pradze kilka dni.

- Moja matka przyśle mi tu pieniądze.

Martwię się, bo chciałam pożyczyć od niego dziesięć Euro.

Znajdujemy obskurny hotelik na Florencu. Obok w pokoju mieszkają dwie młodziutkie Rumunki o cygańskiej urodzie, zastanawiam się, czy są prostytutkami.

- Nie odprowadzaj mnie na dworzec – mówię.

Żegnamy się. Więcej się nigdy nie zobaczymy, mimo że pożyczca mi jednak pieniądze.

Jadę pociągiem na północ. Z plecaka wyciągam wino „Smutek za Południem”. Już sama nie wiem, skąd jestem.

*Elżbieta Czarnecka*

## **Zaułk**

Gùbiã sã na krótkò  
W zaułkù stòri sztrasë  
Cemny i wãsczi na sztòłt ganka  
Dotikóm skarni  
Chcã òdpòczãc  
Dopòdò mie jazgòt miejszczégò trzòskù  
Zòpòch wanileji ë cënamonu  
Gòrzczych cëtrënowëch lëstów ë egzoticznëch  
Kòrzeniów  
Ògarinóm wezdrzeniém cepté wezdrzenia  
Òliwkówëch sztaturków ë jich cenie  
W rucë składowëch ramów  
Chtërne ómijóm  
Dobiegujãc do placu  
Co słuńcem sã przëbrunił  
Jakno stołowi nowi blat  
Snòrzëchny dzëń w Jerozolëmie  
Bãdzë tak baro pròwdzewi  
Drãgò ulegnãc przëtrówkóm  
Nawetkã tëma mało znaczącëma  
Słowa swiãtëch Knégów  
Zrobiã wëtrzëmałi szlach  
Jak wërëtë lëne  
Na biòłém òczosónëm kamieniu z piòskòwca  
Mùrze wëstrzòd ògrodzenié wësoczëch drzewiãtów  
Dze urzekajãcy nieobjimany widzënk  
zmiészòł sã na krótkò z ùmësleniém  
Pojawiającym sã mimo wòlë

***Monika Lidzbarska***



\* \* \*

To wszëtko krący sã za chùtkò.  
Całé żëcy młodosc ë starosc.  
Zmiéniô sã wkół wszystko.  
Czemò?  
Tegò nich nie wié.  
Mój rozëm derchã błądy midzë  
Biôłkã a dzëwczëcëm.  
Chcã wiedno ò pòrénkù òbzérac jasnotã  
Słùńca,  
W nocë wid miesãca ë gwiôzdów.  
Bùdzëc sã blós tédë, czej dzéń  
Sã bùdzy.  
Leno żëcy nie je stalatny  
Dzéń w dzéń chtos òdchòdzy,  
Leno żacy rodzy sã nowi kòzdegò dnia.

***Monika Lidzbarska***

\* \* \*

Nëkôj, człowiekù  
Nëkôj  
Dôj sobie to co zrëszëwô cã do  
Robieniô  
Pòkąd nicht nie dogóniô  
Pòkąd widzysz jész jasny pòrénk  
Żebë nie stracëc nòdzeji że  
Ktos Ciebie zastãpi  
Nëkôj człowiekù  
Nëkôj  
Nafùtrôj swòje zmôdżé  
Nalézë to co chcesz  
Jész nie je czas  
Nie poddôwôj sã  
Przezëj nen przëtrôfk  
Do kùńca  
Zdrząc na kùńc czôrnégò gankù  
Wszëtkò jidze  
„W górã  
Za snieniéma”  
Dopòmòże sobie  
Òdlôż wszystko to co  
Przeszkôdzô, rozprôszô  
Ciebie w jidzeniu do celu  
Żôl- le tédë cze  
Stracisz nòdzejã  
Leno tédë cze  
Nick nie rozmiëjész  
Bò to czego tak pò prôwdzë  
Brëkùjész  
Zdzinãło  
W szukanim  
Nie gùb sã  
Pamiãtajãc ò  
Szëkù rézë.

**Monika Lidzbarska**

## **Tęsknota przyziemna**

Gdzie są te pola  
Pozłacane zbożem  
Posrebrzane pajęczymi nićmi  
Pełne czerwieni maku

Gdzie są te ziemie  
Które dzięki mocnej ręce rolnika  
I błogosławionemu dotykowi matki Demeter  
Oddają swoje skarby

Gdzie są ci ludzie  
Którzy cenią wolność  
Ponad wszelkie dobro

Nieważne (bo odeszli i nie wrócą nigdy)  
Lecz gdzie jestem ja  
W tym świecie wyblakłych farb...

***Krzysztof Kamil Bojarski***

## Wspomnienie minionego lata

Pamiętajcie o ogrodach  
Wszystkie moje działki  
I chociaż więdną bratki  
Nie zapominajcie o kotłach

Czczonych czarach pełnych wina  
Przy których się bawi dziewczyna i chłopak  
Przy których każdy jest jak nieborak  
A także o polach na których zatańczy zima

Teraz jest wszystko jasne  
Jezioro błękitne zaś las się srebrzy  
Nawet trawa ma odcienie krasne

Lecz tak się dzieć musi  
Że przyjdą dni ponure  
A niebo się zasmuci

\* \* \*

I co wtedy zrobisz

*Krzysztof Kamil Bojarski*

III nagroda w kategorii młodzieży

## tylko tutaj

te drzewa  
polany  
i Cedronu szept

i cichy świergot ptaków  
budzący nowy dzień

to niebo  
przykryte chmur pierzyną  
i te noce  
wiecznie nieprzespane

te gwiazdy błyszczące  
czekające by spaść  
by marzenia  
z ludzkich serc wydobywać

to życie tutaj  
to jak Raj na Ziemi  
czego dusza pragnie  
znajdziesz  
w otaczającej Cię przestrzeni

***Magdalena Wołosiak***

\* \* \*

jeśli porwać by miała mnie Tęcza  
i trafić mam do Raju  
to tylko z Tobą  
w ogrodzie za strzeżoną bramą  
znaleźlibyśmy radość

Jeśli miałabym wrócić  
to tylko z Tobą  
byśmy razem zgodnie pogodą  
rządzili  
byśmy na nowo zwykły świat  
Odkryli

moglibyśmy - tak jak kiedyś  
latem w Cedronie nogi zanurzać  
moglibyśmy nowymi ścieżkami w lesie podążać  
znowu byśmy wdychali zapach pieczonego chleba  
może nie ten sam co kiedyś  
lecz dalej budzący wspomnienia

byśmy dalej żyli  
nie ci sami  
co dawniej  
ale nadal  
razem

***Magdalena Wołosiak***

## wspomnienia

gdyby odejść mi przyszło  
i przez 40 dni bym się błąkała  
wspominałabym życie  
oraz magię w naturze tętniącą

wspominałabym  
wszystkie klucze ptaków  
wszystkie poranki oraz  
krople rosy

w wspomnieniach  
całowałabym płatki róż  
wdychałabym  
zapach rumianku

skryta w cieniu drzew  
nasłuchiwałabym  
rozmów ptaków  
uspakającego śpiewu Cedronu

starałabym się  
znaleźć w wspomnieniach  
każdy kolorowy liść  
każdy płatek śniegu

chciałabym  
przeżyć raz jeszcze  
każdy wschód słońca  
zanim zdąży  
zajść moje

*Magdalena Wołosiak*

## **Tęsknota**

Nie wiem, co w sobie ma  
Ta pomorska kraina,  
Bo gdym daleko  
To do niej się cknę  
I nie zatrzyma mnie dziewczyna  
Dłużej niż kilka dni  
Dusza ma do morza gna  
I tylko tu na zawsze żyć chcę

*Michał Skorupka*

## **Morska dziewczyna**

Stała zadumana i poglądała w dal,  
Zaprzona w morski taniec fal,  
Zasłuchana w szum morza  
Piękna dziewczyna z Pomorza.  
Włosy wiatrem rozwiane,  
Dziewczę w morzu zakochane,  
Ten obraz prześladowa mnie,  
Gdzie jesteś dziewczyno, gdzie?

*Michał Skorupka*



## Pomorska Kraina

Wiosną śniegi topnieją  
I morzę radośnie gra  
I każdy kto żyw  
Na plażę gna.

a

Latem na plaży  
Ciało przy ciele się smaży,  
Turystów krąży bez liku,  
Ręcznik leży przy ręczniku

a

Jesienią wielkie fal bałwany,  
Które sztorm tu gna  
I gdzieś turysta zbłąkany  
W rękę kawał bursztyna ma.

a

Zimą plaża w śniegu cała  
I na morzu wielka kra,  
I spaceruje zmarznięta para  
Taka jest pomorska kraina ma

*Michał Skorupka*

I nagroda w kategorii dorosłych

## KASZUBSKA JESIEŃ

*„Ta kraina to kalendarz Pana Boga  
w którym On zaznaczył ulotność chwili  
i odwieczny natury porządek...”  
Cud w Borach – Lucja Gocek*

cień  
do chaty powraca  
przysiada na ławeczce  
wystruganej z pnia dębu  
by spocząć  
ostrugać kartofle  
westchnąć na pole  
na drogę  
gdzie bez czarny smutny  
garnie się zapachem  
a płot trwa przerośnięty  
skrzypem turzycą łopianem

szarówka  
powoli zamyka dzień  
spokojny lecz niesamowity  
bo zaraz deszcz  
aura dla grzybów  
i tajemnic

gdzieś echo jezior  
zabierze całe zło  
i świat tamten pozostawi  
daleko

sen przychodzi  
głębokim oddechem

jak studnia  
w zapachu chłodnej wody  
cisza nastaje  
i opar ją dziwny oplata  
bajkowy

wszystko się powtarza  
rok za rokiem  
bezpiecznie  
wciąż i wciąż...

*Edyta Wysocka*

## **MOJA KRAINA**

*(impresja z wyprawy turystycznej  
w rodzinne Brzeźno Szlacheckie 2010)*

opowiadać  
póki przywartym do tej ziemi  
jak jaskółcze gniazdo  
póki w zielonych chmurach liści  
póki w dotknięciu

miejsca  
kiście obrazów  
sakramenty żywota...

posłuchaj jak pod ich sklepieniem  
maestro kształtuje rytm  
jak brzmi stereofonią ciszy  
i jak daleko tę ciszę słyszeć  
bo w pieśni słonecznej

dziewiątej symfonii jezior  
a każdy dzień to tysiąc lat  
ogromnej wolności

kamienni pasterze  
ziarenka chleba  
pół brodate zegary  
i dęby  
one stoją w zadumie  
strzegą świat  
wokół pni i konarów  
bo to są dzieła wzniosłe  
najbliżej boga  
jak ptaki  
aż ziemia pod nimi uklęka

wiatry doznań i zadziwienia  
że można nieść ten splendor  
niezwykły a codzienny  
rozmieniony do okruszyn chleba  
w ślimaka wilgotny zapis  
w zawilców białe wersy  
w pokorę wiernych oczu psa  
aż po rozległe zagony miłości  
które nie umierają nigdy

umieranie nie istnieje  
to tylko słowa

***Edyta Wysocka***

## POWROTY II

*(zdumienie biegiem rzeczy)*

nie było upałów  
wilgoć zalegała moczarami  
obrasła łągowe zarośla  
w błękitnozłotym zamyśleniu chmur  
a trzciny pęczniały  
od rosochatych gniazd piskląt

nasze przedświty  
jeszcze chłonne  
chciały przywrócić tamto  
na źdźbłach wiotkich  
coraz to przywołując widoki  
lecz spóźnialiśmy się  
do granic tettigonad pasikoników  
do pajęczaków deszczu

siedzę teraz na twardej ławce zmierzchu  
moje głuche ucho jak ludwika van...  
a było dotykalnie  
muskł zauroczeń  
miodna lipa  
póki wątki nie wrosły w bezcielesność  
w drobinki luster zimnej wody  
co zmętniała do niezamyśleń

choć wtedy jeszcze  
liczyliśmy na olśnienia  
że dotkną  
a to tylko firmament był  
w oddechach cichnący -  
ulotny jak fatamorgana

**Edyta Wysocka**

*Drawsko Pom. 2009*

*II nagroda w kategorii dorosłych*

## **Wspómink pierszi**

Czeremosz z Prutã pieszczã przez górë,  
Dze hùculsczi nòród Kaszëbóm pòdobny,  
Stòrégó òbserwatorium mùré  
i kamiszk pòd piãtã grãdzy drobny...

Jich gòscëna, "tarczeniczi" - plince na stole  
Lédze schòwóny midzë górów krzeptë  
i "bania" - syberyjskò sauna, skąd chòc stołem  
wënëkò na trówã slëchac mlëczów szeptë...

***Tomasz Michał Fopke***

## Rómk muzykant

Muzykant Rómk wecygó skrzepice  
Smeczka chwecól midze dwa polce  
jakbe chcól nabrać leftu- wzdichnął...  
Zaczął huculsczi wegrewac tuńce...  
Czec je szum rzeko w, ptóchwów śpiewanie  
Raka jak wiater po s trenach nekó  
Przesótł zmachcony, wezdrzól za okno  
Przesódl na zofce, natchnienió czekó...  
Resził ód nowa muzyczną wanoga  
Tero czec wianie na szpecu Howerle  
i ton jeden, jistny- ten sóm wcyg-  
Zópadne Karpate!- wszetce flot zgedle...  
Czede me weszele  
i busa w reza długą  
reszele dali  
Derch czuł jem Jego muzyka...  
Jakbe sedzele me w jaczi koncertowi sali-  
tak bele czec!  
Czec, jak w desza wmika  
na huculskó,  
Romka muzykanta muzyka...

*Tomasz Michał Fopke*

## Pórenk na gburstwie

Cotka Gita wsta ò szósti  
Sã przecygna, wsëna szlorczy  
Pòcza, jak ji w brzëchu bùrczi  
W gròpczi zdrzi, òd wczora pùsté.

Ledwò òblekła sã, kòło  
Midzë nodzi chwatkò bierze  
I do wsë co sprawie jedze  
Co bë kàsk na stole bëło...

„Kòl Mariczzi” - króm pòd lëpą  
Bënë smaczczzi, cos do praniô  
Bómczzi, gùrczi, proszk na spanié  
Kòl Mariczzi je dzys ôpen...

- Witôj, Gitkù! Mòsz të czëté  
Òti krzëwi Biésków Ance,  
Co to zlazłò je pò swiâce  
Z nym pùklatim Derów Mietim?

- To cë nowina je ale!  
Niechle ò tim Zofce rzeknã...  
Towôr Gita wza i nëka  
Pólną drogą òd wsë dali...

Wiater włosë ji rozwiéwô  
W dół prowadzą kòłoważe  
Wkòło pòla, dalek las je  
A skòwrónk nad rzëkã spiéwó...

Z górcz, tedë zòkrãt òstri  
Wejle, chëczë dak ju widzec!  
Zajca ùszë migną w rëdze  
Je ju doma. Stôri jesz śpi?



- Pòchwólony! Stachù, wstaji!  
Dzysô bãdże mlécznô zupa.  
Jes të tam? Do jizbë kùkną  
Chłop sã chùtczi wëpòrajił...

Chižo òpòrządził chòwã  
Krowóma dół w kùmë drãkù  
Spùsycł słomë pòrã pãków  
Kùrë maklół, czej gò wòła...

- A, kòchlińskò je ju nazòd-  
Kòtë , piesczi jesz pòzdają.  
Mlékò wstówiò białka, kraje  
Rãce mëje- friszték parôt.

- Bòże nama tej przeżegnój!  
Nudle, a do te glén chłébka  
Je wãdzonô, swięzo ribka  
Tëlkò, co dlò pùjka zbiegło...

- W krómie czëła ò ny Ance..  
- Na co mię ne wasze klapë!?-  
Chca të wicy?- kórzcew złapił  
Z sercã nabròł- samò gãsté...

(...)

Tak pòsobicą pòrénczi  
Lecą flot, w òkamërgnienim  
Na òbòrze, przë czurzenim  
W jednym gbùrstwie, dzes w Kaszëbsczi.

***Tomasz Michał Fopke***

## **My Kaszubi, lubim sielanki**

Ech, już nie wrócą, czwarta trzydzieści  
moje codzienne poranki.  
Czas „Solidarnie” świat mój przekreślił,  
odciążył strudzone barki.

Dziś już nie muszę, pięć kilometrów  
na pociąg gnać do Lubiany,  
by złapać banę, kaszubskie metro,  
do stoczni na pierwszą zmianę.

Z małą przesiadką, by w Kościerzynie  
butelkę wina opróżnić.  
Po dwóch godzinach (czas szybko minie)  
Gdynia- cel dla twardych ludzi.

Przez całą drogę graliśmy w „Baśkę”,  
w wypłacie powstało manko.  
Wesoło żyłem, w te czasy przaśne,  
ech, tęsknię za tą sielanką!

To mój codzienny szlak remusowy  
z Sycowej Huty do Gdyni,  
no i z powrotem, by na nieszpory  
pokłonić się gospodyni.

W kuchni ma białka. Kolacja-obiad.  
Pamuchel (w piątek jem rybę).  
Na deser w łóżku jeszcze coś doda,  
co między pianc jest a ziben.

Jutro sobota, powrócę wcześniej,  
przysiądę z białką na ganku.

W sadzie mimożąd złoci się wrzesień,  
ech, tęsknię za tą sielanką!

Wszystko minęło, dźwigi stoczniowe,  
spuściły na kwintę nosy.  
Dzisiaj w sielankach trendy są nowe,  
człowiek jest wolny, lecz bosy.

Lecz się nie martwię. Mąj ojcowiznę,  
na działki miastowym sprzedam.  
Sprowadzę strusie i w hotel izbę  
Zmienię - nie grozi mi bieda.

Ryby ze stawu wszystkie wyłapię  
w gustowny zmienię staw basen.  
Przyszłość wiadoma, więc się nie trapię,  
cmentarz- kwaterka pod lasem.

Zanim mnie bauer z Niemiec wykupi,  
by zamknąć z białką do klatki  
z unijnych euro zdążę go złupić,  
Kaszubi lubią sielanki.

Siedzę przy grillu. Mnie to wystarczy,  
na rurze oglądam tańce.  
Myślę, czyś o to Remusie walczył,  
o takiej marząc sielance.

Ech, już nie wrócą, czwarta trzydzieści,  
moje codzienne poranki.  
Czas „Solidarnie” świat mój przekreślił,  
na nowo pisząc sielankę.

*Zbigniew Radosław Szymański*

## Do Mowy Kaszubskiej

Kto twe słowa włożył w szept wiatru,  
W szelest trzciny, skargę dziewczyny?  
Białą kartę pól zapiszą zimy  
Alfabetem, wrony garbate.

Każde słowo wydarte z otchłani.  
Jezior jęzor fal szmerem je szepcze.  
Mowo kaszebsko tyś kapryśna pani.  
Krzyczysz wichrem, gdy słuchać cię nie chcę.

Twardym kamieniem wtedy twe zgłoski.  
Ciskasz nimi z siłą Stolemów.  
Twój rodowód odwiecznie polski,  
Obcych słów ślady cię nie odmienia.

Bo tyś chłonna jak kaszubskie piaski  
Rozpalone skrą Ormuzdową,  
Remusa przez Twe drogi wanogą,  
Gdy z mrocznym Arymanem wciąż w waśni.

Twa wędrówka sięgnęła Paryża  
Trudem piewcy Kaszub - Abrahama.  
Na rozstajach dróg klęczysz u krzyża,  
Krew modlitwą zmywając z ran Pana.

Korzeniami dębu w piach wrosłaś.  
Sosny smukłością do chmur dosięgasz.  
Wiersza chleb nam w darze przyniosłaś-  
Mowo, wiernym być Tobie przysięgam!

Bądź mi chlebem, codziennym, razowym,  
W dzieży serca wyrosłym bądź słowem.

**Zbigniew Radosław Szymański**

## **Latawce**

przebiegam plażę siedmioletni  
latawce chmur po niebie płyną  
mocno zaciskam sznurek w dłoni  
nie chcąc żeby mnie świat wyminął

dziś na tej plaży chcę odpocząć  
wciąż niebem płyną chmur latawce  
sznurek mi dawno wypadł z dłoni  
zostałem sam na pustej ławce

to mi wystarczy- wierzę chwili  
po cóż za szczęściem wiecznie gonić  
ważne jest to by być szczęśliwym  
a nie by szczęście ścisnąć w dłoni.

***Zbigniew Radosław Szymański***

## PODOLSKIE ŻNIWA

rozjaśniło się niebo sierpami  
podolskich żeńców  
gdy ze śpiewem skowronka  
popłynęła wśród pól  
dumka ciotki Daryny  
a za nią  
małe dytyny  
świergotem powitały sypiące się ziarno

wystarczyło zamknąć oczy  
by wrócić na Podole  
choć wokół podlaska rzeczywistość  
jednak jak tamta  
drewniana  
i też przykryta strzechą

w sękatej dłoni Andreja  
męża Daryny  
kosa śpiewała powitanie jesieni  
stodoła szykowała wrota ust  
na przyjęcie nowego pokarmu  
lecz tylko na rok  
potem  
jak Bóg da  
może będzie urodzaj  
a może nie  
jak to na Podolu bywało

na szczęście  
miejscowy pop  
z popadią

poświęcili zbiory  
modląc się do ikony w cerkwi  
o przyszłe lato

łza z obrazu za ikonostasem  
obiecała przychylność  
jak na Podolu

*Mirosław Odyński*

## **DZIEWCZYNA ZE SŁOŃCEM W DŁONIACH**

nierzeczywista  
jak świt na obrazach Moneta  
pojawiła się nagle  
ze słońcem w dłoniach  
pomiędzy łanami pszenicy  
jej bose stopy  
delikatnym dotykiem  
pieściły kłosa traw

śpiew skowronka  
przywołał wiatr znad stepu  
a ten  
lubieżnik  
gorącym tchnieniem  
owinął spódnicę  
wokół bioder i kolan  
nawet topole  
pozazdrościły smukłości udom  
zdumiony zając

stanął słupka na miedzy  
ujarzmiony błękitem oczu  
odbiciem nieba

a ona  
z twarzą Madonny z mohylewskiej cerkwi  
niereczywista  
w bezkresie podolskich stepów  
niczym dumka lirnika  
niosła pod stopami  
zapach gwiazdnej rosy  
jej piersi  
kwitły radością poranka  
na spotkanie żeńców

a oni  
choć zgarbieni pod sierpami żniw  
gotowi byli smakować jej ciała  
pachnącego obietnicą  
jak świeżo wypieczony chleb  
z tegorocznych zbiorów

***Mirosław Odyniecki***



## BARTNIK

złoto z dziupli  
przemieniał w słodycz  
oferując  
niebiańskość podniebieniu  
i zdrowie nabywcom

oni  
dziękowali mu  
niepomni  
że to nie on  
jest stwórcą  
jedynie pośrednikiem  
między naturą  
a nimi  
choć wokół  
brzęczące złotem owady  
okruszyny słońca  
zaplątane w szpary listowia  
opadały płaczącym deszczem  
na mchy  
by po chwili  
niczym iskry tańczącego ognia  
wzbic się do góry  
gdzie stukot dzięcioła  
zwiastował im nowe  
miejsce przeznaczenia

jednak oni  
nierozumni zakłęcz natury  
zabijali złote iskry słońca  
lecące zbyt blisko  
wszak mogłyby uządlić  
a to boli  
przecież...

*Mirosław Odyniecki*

Wyróżnienie w kategorii dorosłych

## **SAGA WEJHEROWSKO-BAŁKAŃSKA**

Zieleń morza i słońce, i morze zieleni  
biały piasek i muszle, i żagle na falach ...  
ech, wakacje ... Chorwacja! Spełnione marzenia  
tutaj praca w Żarnowcu się w niebyt oddała  
w szumie morza zasypiam  
i śnię

W Wejherowym grodzie ruch wielki panuje  
do dalekiej Illirii syn księcia wyrusza  
wielki statek dla niego tam cny szkutnik buduje  
sakwy z cennym jantarem już w jukach, jak kruszec  
wróci morzem, daj Boże  
za rok

Choć wyprawa ta długa, a trud drogi niemały  
młody Wejher odważnie się go podejmuje  
on Kaszubem z Kaszubów - a to lud wytrzymały  
od pokoleń wytrwale na tej ziemi pracuje  
łowi, sieje, hoduje  
i trwa

Ta kraina, tak piękna i latem, i zimą  
gdzie jeziora wśród wzgórz porośniętych lasami ..  
pracowitym i prawym hojnie darzy rodzinom  
kroplą miodu dzielącym się z przodków duchami  
skarb jantaru im daje  
i chleb

Wrócił Wejher po roku onym statkiem nadobnym  
I nie sam - bo i żonę z Illirii przedstawia:  
- Ojcie drogi, tam ludzie nam bardzo podobni  
i kraina jak nasza - toć przecież też Slavia  
będziesz dumny z mej żony  
i mnie

Mewa głośno krzyknęła, spadła snu zasłona  
i skojarzeń lawina na turystę spłynęła:  
- Wszak ta plaża w Chorwacji - to Illiria miniona!  
gdzie na jantar w tych czasach ELEKTRON mówiono  
część atomu, co jutro  
nam w Żarnowcu  
da prąd

Wieki przemijają, świat się szybko zmienia  
ale ziemie trwają, swe bogactwa nam dając  
coś nam dały w posagu dawne pokolenia  
i my dajmy coś z siebie - innym ludzi kochając  
mosty przerzucajmy  
do gwiazd

***Tadeusz Buraczewski***

## **Ja zawsze mam ze sobą mały teatr...**

Ja zawsze mam - ze sobą mały teatr  
- scena gdzie wzrok nie sięga - tak tu...i tam  
stróż - anioł mym suflerem - i nie wiem co to trema  
do ostatniego widza - nie widząc was - wam gram.  
Nie wentylator to lecz wiatr - a wieje jak mu każę  
„to be” - czy tylko grać - a może - się zawaham  
gdy w chybotliwy cień - wpiszę weń wasze twarze  
- w weneckie maski jak - księżycy srebrna blacha...  
Tu cena i przecena - z kim dialog - czyj dekalog  
i kto ostatni z was zostanie na pokładzie  
cyrk - teatr czy kabaret - bermudzki trójkąt to  
- tu życiem nie zapłacisz żyjąc ot tak z dnia na dzień...  
Burza w klawiszach drzew - noc dudni jak fortepian  
stolica to czy Pcim - Manhattan bądź pustynia  
przez mgieł kurtynę idę - w antrakcie mam loterię:  
- aktor, inspicjent - Pantokrator... czy - szalony kataryniarz...

***Tadeusz Buraczewski***

## **Jezioro Dobre...**

Od czegoś kiedyś trzeba zacząć  
- by uciec z wiru – stanąć wobec...  
Znaleźć w kałuży czysty kryształ  
- niech będzie to Jezioro... Dobre...

Kiedy znad cypla słońce spada  
- wprost w refren – snuje się piosenka  
- dzięcioł na wyspie drzewa bada...  
Obraz – Nikifor...z Kaszub - Rembrandt...

W babiego lata pięcioliniach  
- co najważniejsze – już minęło  
w nutach co nigdy nie powrócą  
- w ogniu co był rozpałił Bellon...

Gdy ciebie złapał świat na haczyk,  
a teraz ty coś tutaj złowisz -  
- odblokuj w głowie kołowrotek  
z powrotem rybę wpuść do wody...  
.....

I we śnie z dymem już ogniska  
.....jakby we mgle sunęły łodzie...  
Było radośnie – czysto – pięknie  
- tak jakby przeszedł ktoś po wodzie.

Cóż? Trudno jest czasem w to uwierzyć  
- rozmarzyć się i w toń zanurzyć,  
mieć ręce czyste gdy czas przyjdzie  
i rzuci piorun skrzydło burzy.

Nie zawsze w górze będzie tęcza  
i coraz rzadziej – niebo modre...  
A coraz częściej – z siłą czerni  
zagląda tutaj Zło – nad – Dobre.

Od czegoś kiedyś trzeba zacząć  
- by uciec z wiru – stanąć wobec...  
Znaleźć w kałuży czysty kryształ  
- niech będzie to Jezioro... Dobre...

Kiedy znad cypla słońce spada  
- wprost w refren – snuje się piosenka  
- dzieciół na wyspie drzewa bada...  
Obraz – Nikifor...z Kaszub - Rembrandt...

W babiego lata pięcioliniach  
- co najważniejsze – już minęło  
w nutach co nigdy nie powrócą  
- w ogniu co był rozpałił Bellon...

Gdy ciebie złapał świat na haczyk,  
a teraz ty coś tutaj złowisz -  
- odblokuj w głowie kołowrotek  
z powrotem rybę wpuść do wody...

.....  
I we śnie z dymem już ogniska  
.....jakby we mgle sunęły łodzie...  
Było radośnie – czysto – pięknie  
- tak jakby przeszedł ktoś po wodzie.

Cóż? Trudno jest czasem w to uwierzyć  
- rozmarzyć się i w toń zanurzyć,  
mieć ręce czyste gdy czas przyjdzie  
i rzuci piorun skrzydło burzy.

Nie zawsze w górze będzie tęcza  
i coraz rzadziej – niebo modre...  
A coraz częściej – z siłą czerni  
zagląda tutaj Zło – nad – Dobre.

**Tadeusz Buraczewski**

## **POPATRZ GENERALE...**

Przy ulicy Morskiej  
Do Morza wprost  
Do tego morza otwartego  
Gdzie i dziś tyle błękitnych fal  
Dobija do Polskiego Brzegu  
Jakże pamiętając tamten odległy  
I jakże bliski czas  
10 lutego 1920 roku  
Gdzie w imieniu całej Rzeczypospolitej  
A więc w imieniu  
Całego Narodu Polskiego  
Dokonywałeś po wszystkie czasy  
Zaślubin z Bałtykiem  
Stając tu na skrawku  
Władysławowskiej Ziemi  
Autorytetem swej całej Błękitnej Armii  
A falom błękitnym  
Dając swój Pierścień

Już osiemdziesiąt siedem lat  
Mija od tamtego czasu  
Od tamtego wydarzenia które  
Tutaj we Władysławowie  
Gdzie ongiś stało  
Zaledwie kilka chałup  
Dziś jest pensjonat przy pensjonacie  
A każdy włodarz  
I rybak  
I marynarz  
I żeglarz  
Jakby choć Pan Piotr Barczewicz  
Od niedawna właściciel  
„Checzy Tawerna”  
A w tym roku i właściciel  
Pensjonatu i restauracji „Ibiza”

Oddając już wiano swej służby  
I synom i wnukom  
A i prawnukom już  
Ciebie Wodzu Błękitnej Armii  
Ciebie  
Do siebie na kwaterę prosi  
I prosi na kwaterę  
Swoich wszystkich żołnierzy  
I zachęca Cię szczodrze  
Jak na kaszubską  
Polską gościnność przystało  
Wraz z całą swą Armią Błękitną  
Generale  
Chociaż w tym sezonie odpocznij  
Na świeżą rybkę do nas zajdź  
Na kwaterkę do nas  
Choć na moment wpadnij  
No kiedyś o tych naszych polskich  
Sprawach pogadać  
Najwyższy  
Czas  
Lecz TY do swojej Hallerówki  
Ze swego Pomnika wyrywasz się  
Bo Twoja Hallerówka  
W podeszłym wieku już  
Cała jest z drewna  
A drewno zwietrzałe  
Ma swoje niezbywalne prawo  
Chylić się ku upadkowi  
A gdy Hallerówka zniszczyje  
Generał Józef Haller  
We Władysławowie  
Nie będzie już miał swojego  
zabytkowego  
Prawdziwego domu

I tyle pamiątek  
Pójdzie  
W poniewierkę

Twój wierny wachmistrz  
Pan Józef Roszman  
Tylko przeczy głową  
I wolnym czasie  
Ryby z rogu na patelnię skrobie  
No jest to piękne  
Kaszubskie ludowe dzieło  
Lecz też ręce rozkłada  
Bo i sam przyznaje  
No tak  
Na tych śmiejących się rybkach  
Oko zawiesić można  
Ale choćbyś oleju im dodał  
I na ogniu podgrzał  
To czy można się  
Tym najeść

I kiedy już tych ryb ma dosyć  
To z rogu pingwiny  
To z rogu tabakierki skrobie  
I mówi do siebie sam  
Tę najładniejszą  
Tę najlepszą  
Oprawioną w bursztyn  
Nasze kaszubskie złoto  
Najlepiej  
Najbliżej w Galerii „Nordgold”  
Pana Jarosława Kierznikowicza  
Tym bardziej  
Że jest to Galeria  
Przy Twojej ulicy  
Podaruję Tobie Generale  
Pierwszemu z Błękitnych  
Tu we Władysławowie  
I pierwszemu z Błękitnych  
W całej Polsce

Popatrz  
Dzisiejsze Władysławowo  
To nie to co kiedyś tamto  
Za Twoich czasów  
Lecz Ty to miejsce odkryłeś  
Tu zapragnąłeś zamieszkać  
Razem z nami dzielić  
Swój czas trudnej służby  
I swój wolny czas

I od tamtego czasu  
Władysławowo  
Nie uroniło ani jednej kropli  
Swojej szansy  
Patrz  
Jak wspaniale się rozrosło  
Jest tu tyle nowych dzielnic  
A co dom  
To pensjonat  
To willa  
I jest tyle ulic  
Gdzie kostka do kostki  
Po szwajcarsku przylega  
Że gdy ucho wytyżysz trochę mocniej  
To słyhać to życie  
W tym naszym Władysławowie  
Coraz bardziej stabilne  
Coraz mocniejsze  
Coraz żywsze  
I nawet chyba coraz bardziej zasobne  
Chociaż nie każdy tu  
We Władysławowie  
Przyznaje to otwarcie  
A już o tym fakcie  
Wielu z jakimż uporem  
Zapierają się przed urzędem  
Twe Błękitne Warownie  
Panie Generale  
Pomne Twych pamiętnych



Historycznych słów  
Tobie Polsko  
Na chwałę sięgają coraz dalej  
Sięgają het het do najdalszych  
Władysławowskich pól  
Które by dosięgnąć okiem  
Trzeba brać lornetkę

Patrz Przetwórnia Rodziny Treppów

No skiby i bruzdy  
Podchodzą aż do zakładu  
A groszek a pomidory  
A marchewka a seler  
I pietruszka  
Ogórek i rzepa  
No do zakładu prosto  
Na taśmę produkcyjną idą  
Prosto z pól  
A na ekologię wszędzie  
Jaka teraz moda  
Bo chemikaliów już dosyć  
Najedli się w całej Unii  
Tu na producentów żywności  
Przychodzi ta próba czasu  
Tak jak kiedyś przyszła  
Na żołnierzy i wodzów armii  
Uczciwość i wierność  
Swojemu powołaniu  
Po prostu  
Otwarcie  
Na stół  
Na polski  
Na kaszubski  
Stół

No musi być widać  
Kto dokąd zmierza

No Patrz Nasz  
Władysławowsko-Pucki Generale

No spójrz na Twoją  
Drugą Błękitną Warownię  
Jest to Rafa  
Het w szczerym polu  
Też pośród skib  
A jakaż prężna  
Na całą Polskę  
Na całe Pomorze  
Wędzarnia Ryb  
A jest jeszcze i „ORFA”  
Pana Jana Czernieckiego  
Jest jeszcze i „Szkuner”

Patrz  
To polskie kutry  
Idą dziś w wolne Polskie Morze  
Idą daleko po Jastarnię  
Po Juratę po Hel  
Płyną po Bornholm  
Płyną na Północne Morze  
I na Atlantyckie  
I jeszcze dalej

A wszędzie gdzie płyną  
Wszędzie ich wiodą Twe Błękitne Fale  
I te Twoje słowa  
Wierne żołnierskie  
Słowa Testament  
Słowa Credo  
Słowa Motto  
Wszystko to dla Ciebie Polsko  
Na Twoją chwałę

I mówi z Twej Błękitnej Wartowni Twój  
kolejny Wierny Wiarus  
Mówi Pan Zdzisław Szczepankowski  
Twórca BMC  
Twórca Przetwórstwa Rybnego  
We Władysławowie  
Któremu już Holandia Belgia

Niemcy i Wielka Brytania  
Któremu już Francja ustępuje  
Jakiż to już wierny żołnierz Twój  
No ani piędzi swego pola  
No nie ustąpi

Więc jest tu nie tylko wierna  
Wartownia Twa  
Ale i placówka  
Ale i zwiad  
Ale i sztab gospodarczy  
Który otwarcie powiada  
No w Unii  
Tak  
Ale żadnych ustępstw  
I nigdy plackiem wobec Unii  
Bo nie byłyby tu przecież  
Twój honor  
Nasz Panie Generale  
Józefie Haller

Więc i „BMC”  
Mocno Kaszubami trwa  
I mocno trwa Polską  
Choć tyle spraw i tyle praw  
Tak jeszcze mocno  
Pod wiatr ustanowionych  
Ale Twój wierny Wiarus Panie  
Generale Józefie Haller  
Pan Zdzisław Szczepankowski  
Tu we Władysławowie  
Mówi  
Czołem  
I wiernie  
Że dopowiem gorliwie  
Wobec wszystkich Twoich wyzwzań  
Trwa

Więc tu masz namiastkę  
Polskiej Wioski Olimpijskiej

Gdzie tyłu ćwiczyło tu  
Przed swoim wyjazdem  
Na tyle olimpiad  
Przed swoim szczęśliwym wyjazdem  
Po złoty  
Po srebrny  
Po brązowy medal

A Pan Jajkowski  
Żeby bliżej było z Władysławowa  
Do najbliższej Olimpiady  
Węc tu we Władysławowie  
Zbudował nawet  
Pekin

A jest tu przecież już prawie  
Mistrz Polski Fryzjerstwa  
Pani Marzena Szomberg  
I za j ej przykładem  
Wyrastają kolejni  
Mistrzowie

Dziś iluż stąpa  
Po Twojej Błękitnej Drodze  
Panie Zdzisławie Szczepankowski  
Po Alei Zasłużonych  
A przecież to dzieło  
To dzieło Twoje  
Panie Zdzisławie  
Że echo z Cetniewa  
Już o poranku niesie się  
Aż po Twój Albatros  
Oddając honor  
Iście po oficersku  
Generałowi Józefowi Hallerowi  
Który w drodze do swojej Hallerówki  
Zatrzymał się w zadumie  
Przy swoim pomniku  
Przy ulicy Morskiej  
A potem okiem był rzucił na włości

Pana Tadeusza Walczaka  
Które się kryją za złotym szyldem  
„Skipper”

A gdy przybędzie do Hallerówki swej  
To pewnie jeszcze  
Wykona swój generalski telefon  
I otwarcie powie  
Też do swoich  
Jakże mu wiernych  
Błękitnych Wiarusów  
Tadeuszów Klebbów  
O tym samym imieniu  
O tym samym nazwisku  
A jednak nie braci  
No tak jakoś dziwnie  
W swoich losach się rozminęli  
Jednego Buderusa do Hallerówki  
Natychmiast jeszcze dziś  
Bo ten mój twórca ludowy  
I kamerdyner mój  
Pan Józef Roszman  
Całkiem tam zmarznie  
Bo chłód tam ciągnie niesamowity  
Gdzieś z głębin  
Podziemnych arktycznych wód  
A On nie myśli o sobie  
Tylko skrobie i skrobie w rogach  
Swoje tabakierki  
Pingwiny  
I rybki

Niektóre nawet na patelnię kładzie  
No taki już świat ludowego twórcy  
No walczyć z tym nie sposób  
Bo tabakierka u Kaszuba  
To siła co najmniej połowy  
Mojej  
Błękitnej  
Armii

Ale i On cokolwiek robi  
To Tobie Polsko  
Na chwałę robi  
To Tobie Polsko  
Na chwałę robi  
I odstawia do swojej  
Rogowej  
Rodowej  
Kolekcji

***Stanisław J. Zieliński***

Gdańsk, 11.04. 2007

## Majowy czas

Kiedy jeszcze mgły ciepły welon  
Otulał rankiem senną matkę ziemię  
Z kapliczki na rozstajach  
Pani Święta, Maria na świat wychodziła  
Szła cichuteńko, leciuteńko łąką zieloną  
Pachnącą tatarakiem i listkami klonu  
Zaglądała w okna swoich braci, ludzi  
Dobrymi myślami chcąc dzień ich obudzić  
Prosiła Dobra Matka o szczęście i pokoi

Pana wieków siedzącego na modrym tronie  
Wśród obłoków  
Miała Matuchna Niebieska takie oczy  
Świetliste  
Jak lipcowe niebo w czasie żniw  
Były to oczy dziecka przy piersi matczynej  
Niewinne i czyste  
Śni mi się w zły czas ta łąka zielona  
Koło stawu i kapliczki  
Jedyna na świecie, bo  
W rodzinnych stronach

*Emilia Jarząbek -Ziemnicka*

## Lubię błądzić

Lubię błądzić..... Wśród lasu  
Bo wiem..... że północ  
Mchy na korze pokażą  
Lubię błądzić  
Ścieżką wśród trzcin jeziornych  
Odurzona zapachem mięty, tataraku  
Bo wiem, że nad wodę  
    Czy łąkę  
Zaprowadzi mnie krzyk  
    Błotnych ptaków  
Nie lubię chodzić sama ulicami miasta  
    Bo wiem, że w załomie muru  
    W bramie  
Kryje się zły człowiek  
Ubrany w czarny płaszcz  
    Zła i nocy  
O oczach, które nienawidzą  
I kłamią

*Emilia Jarzabek -Ziemnicka*

## Wigilia w Izbicy

Cicho, cichuteńko..... biało, białusieńko  
Idzie polska wigilia do małej Izbicy  
Świerkiem się kłania  
Trzcunami kołysze  
Niesie pokój pogodę  
Całej okolicy  
Nim na białym obrusie, pojawi się opłatek  
Dzielony z namaszczeniem  
Przez matkę lub ojca  
Niejedno serce cichutko  
Zapłacze  
Na wspomnienie dawnych  
Wigilii czasów młodości  
Gdy spracowane ręce rodziców  
Niosły tyle serdecznej miłości  
Może kiedyś gdy my odejdziemy  
Za dziesiątą ścianę lasu  
Też o nas wspomną nasi wnukowie  
Na tej pięknej izbickiej ziemi  
W cudownych rozszrebrzonych czasach

*Emilia Jarząbek -Ziemnicka*

## Pod miedzą

W polu pod miedzą życie miłe kwitnie  
Skrzydełkami trzepoce motyl bałamutnie  
To Paż Królowej pyszni się barwami  
Na pięknych skrzydłach z żółtymi deseniami

Na pokrzywie rozkłada się Pawik z rodziną  
O ubarwieniu czerwobrunatnym  
I czeka aż wielkie upały przeminą  
Motyle giną w dni upalne w tempie zawrotnym

Biedronki czarują czerwienią w kropeczki  
A mały żuczek szuka swej czapeczki  
Bo słońce bezlitośnie doskwiera mu  
A on chciałby w cieniu ułożyć się do snu

Nieco dalej w kopczyku mrówki siedzą  
Układają budulec by domek powiększyć  
Jak widać życie piękne jest pod miedzą  
W radości serca przyrodę trzeba przeżyć

Skowronka śpiew w sercu moim dźwięczy  
A w przydrożnym krzewie lśni welon pajęczy  
W pszenicy zaś brązowy chrapaszcz buczy  
Przyroda pokory wszystkich ludzi uczy

*Magdalena Grzeńska*

8/2010

## **Cisza szmaragdowego morza**

Aby żyć pogodnie i beztrosko  
Musimy mieć większy dystans do teraźniejszości  
I traktować upływające życie z mniejszym buntem  
Jesteśmy wtłoczeni w dyscyplinę jak w młyńskie koło  
I nie możemy się wyrwać z zamięłowania do luksusu  
Rozszerzanie pojmowania naszej rzeczywistości  
Przypomina gonienie wiatru  
Próbuję żyć oczekiwaniami i nadzieją  
Bo gdy klęska zasypia budzi się radość  
Świat zostanie na zawsze piękną tajemnicą  
W sercu mym jest cisza szmaragdowego morza  
I rybackiej łodzi pachnącej szkwałem  
Pech i szczęście przeplatają się zawsze  
W najmniej oczekiwanych momentach życia  
Świat złożony jest z tęsknot i nadziei  
Które są jak kolorowa tęcza  
Wyzwalająca w człowieku radość życia

***Magdalena Grzezińska***

1. 9. 2010



## **W blasku dnia**

Podziwiam roziskrzzone słońcem korony drzew  
I uświadamiam sobie że lato opuszcza nas  
By znów za rok olśnić nas mozaiką promieni  
Które z ziemi wydobywać będą radosne zawilce  
A tymczasem kłaniam się brylantowym smugom  
Które w szemrzącym strumyku czeszą swoje włosy  
A brzoza która gubi swoje pożółkłe listki  
Opowiada o przyjaźni która nie trwa wiecznie  
Boża krówka omija ślimaka zostawiającego ślad  
Na olbrzymim kamieniu-strażniku wiekuistego trwania  
Warto też złożyć pocałunek na szarej korze wierzby  
Której cień ratował nas przed palącym słońcem  
I wyznaczał minuty ekstazy blasku dnia  
I uzmysłowił nam piękno natury naszego kraju

***Magdalena Grzebińska***

19.9.2010

## Przyszłość daleka

Złożone dłonie,  
bez odpowiedzi.  
Czas przemijania.  
Pokątne plany,  
skrywane prośby.  
Oczekiwanie.

Jak się wydaje,  
tam nie będziemy  
o nic pytani.  
Abyśmy mogli  
przy niesprawdzonym  
pozostać zdaniu.

Gdyż Aniołowie  
smucą się tymi  
którzy stąpają  
twardo po ziemi.

***Andrzej Sitek***

## Recepta

Słońce, sport, owoce,  
to znani od wieków  
przyjaciele zdrowia.

Wzmacniają organizm  
by nie dokuczała  
nam żadna choroba.

Lecz niestety zdrowie  
też ma swoich wrogów.

Ale się obrania, pozostaną  
ufni, szczęśliwi i zdrowi,  
ci którzy potrafią już teraz  
porzucić szkodliwe nałogi.

***Andrzej Sitek***

## Prośba

Nadawca tęskni i wspomina,  
a rozbawiona odbiorczyni ani  
pomyśli, że z jej winy.  
Pokornie z kapeluszem w dłoni  
znów czekam aż cię miłość skłoni,  
byś przeczytała owe słowa.  
Tych kilka próśb i rad kochana,  
pisanych w środku cichej nocy,  
byś pozostała uwielbiana.  
Mów, mów kochana mów  
bym siebie znalazł w tym  
potoku słów.  
Pisz, pisz kochana pisz  
nad dobrym słowem swoje  
czoło zniź.  
Czuj, czuj kochana czuj,  
byś przypominała sobie  
żem ja twój.  
Śnij, śnij kochana śnij  
bym wtedy ciebie w swych  
ramionach skrył.

*Andrzej Sitek*

## Rejsy

Kto pożeglować chce po szczęście  
niechaj odwiedza nasze miasto,  
gdyż Gdynia piękne ma okręty.

Nie każdy chce być Ulisesem  
od żony zbytnio się oddalać  
temu wystarczy łódka mała  
aby popływać tuż przy brzegu  
kiedy łopocze flaga biała.

Lecz żądni sławy morskie zuchy  
pragnąc zdobywać oceany  
płyną Pogorią na skraj świata  
mocno miotani przez tajfuny.

Małe i duże są okręty  
Małe i duże są marzenia.  
Jak sam się latem przekonałem  
Wszystkie są w Gdyni do spełnienia.

*Andrzej Sitek*

## **Natura, mimo zmian**

Wieżowce, nowe osiedla i sklepy  
Asfalt, kostka, chodniki  
Przeciw nim lasy, rzeki, stepy  
Teren wolny, teren dziki

Pierwsze wysokie, wciąż pną się do góry  
W każdym detalu zaprojektowane  
Drugie naturalne, jak liście i chmury  
Choć obecne od zawsze, wciąż dla nas nieznanne

Mogą dzielić, mogą łączyć ludzi  
Pozornie nie mają nic wspólnego  
Nie każdy chce się z naturą trudzić  
Zgiełk miasta także nie pasuje do każdego  
Czy kompromis jest możliwy  
Życie ludzi na tle przyrody  
I czy człowiek jest szczęśliwy  
Żyjąc wśród pól, lasów i wody?

W Wejherowie naturę mamy w zasięgu ręki  
Rzeka, park, otoczenie lasami  
Możemy w pełni podziwiać jej wdzięki  
Spacerując starymi miastami ulicami

Choć wciąż w mieście zmienia się wiele  
Nadal występuje do natury przywiązanie  
I tak jak opisywały dawne nowele  
Wciąż żyjemy blisko przyrody - my, Słowianie...

***Marta Szmytke***

## **Sielanka**

Sielanka - natura szczęśliwa, wysniona  
Życie beztroskie, spełnione  
Rzeczywistość przyrodą przepelniona  
Rodziny zawsze połączone

Drewniane domy, płonące ogniska  
Wschody słońca, spacer po lesie  
Cywilizacja odległa, choć z pozoru bliska  
Kontakt z naturą spokój niesie

Nie rezygnują z tego Słowianie  
Łączą naturę z życiem w pośpiechu  
Tylko takie rozwiązanie  
Pozwala w trudnym życiu nie zapomnieć o uśmiechu

***Marta Szmytke***

## **Słowiańskie rodziny**

Życie w rodzinnym gronie  
Jest jak życie w bezpiecznej osłonie,  
Choć wszystko wokół szybko się zmienia,  
Wciąż razem żyją całe pokolenia.  
Gromada dzieci zamiast jednego,  
Słowianie chętnie witają wnuka każdego.  
Lubią rozmowy, rodzinne spotkania,  
Obce im kłótnie i narzekania.  
I choć to tylko uogólnienia,  
Model rodziny wciąż się nie zmienia.  
Życie spokojnie i w zgodzie płynie,  
Bo Słowianie oparcie znajdują w rodzime...

***Marta Szmytke***

## OKIEM JURORA

Niezwykłą wartością każdej twórczości jest jej osobisty charakter. Można powiedzieć, że każdy utwór jest szeptem duszy jego autora. Stąd też rzeczywistość w oczach różnych autorów może przybierać różne barwy. Dla jednej z laureatek „to życie tutaj to jak Raj na Ziemi czego dusza pragnie znajdziesz w otaczającej Cię przestrzeni”... „Powiew Weny” jest okazją do ujawnienia pokładów wrażliwości i talentu drzemących w duszy. Dlatego zachęcamy młodych ludzi do wyciągnięcia swoich wierszy z szuflady i wzięcia udziału w kolejnych edycjach konkursu.

Podczas tej edycji mieliśmy do czynienia nie tylko z utworami poetyckimi, ale i ich tłumaczeniami. Jedna z laureatek, decydując się na tłumaczenie z języka polskiego na język kaszubski, udowodniła, że młodzi ludzie nie tylko poszukują środka wyrazu artystycznego w poezji, ale i odwołują się do autentycznych wartości kultury naszego regionu. Jest to niezwykle optymistyczny akcent dla wszystkich tych, którym na sercu leży los kaszubszczyzny.

Pozytywnym aspektem naszego konkursu jest możliwość obserwacji rozwoju literackiego twórców-amatorów, którzy pojawiają się w „Powiewie Weny” co roku. Podczas tej edycji jeden z laureatów udowodnił, że rozwija swój talent, pracuje nad swoim warsztatem i jest wnikliwym i wrażliwym obserwatorem otaczającej nas rzeczywistości, który przejmujący sposób nazywa ją „światem wyblakłych farb”...

Uczestnicy konkursu podjęli przeróżne wątki. Mikrofibra (I miejsce) w opowiadaniu „Abakadabra” ukazała związek historii słowiańszczyzny z jej współczesnością. Tworzenie się obyczajów chrześcijańskich, asymilacje chrześcijaństwa z religiami i wierzeniami pogańskim. Bohaterka opowiadania Małgosia poprzez badania archeologiczne wkracza w wierzenia pogańskie. Ta sytuacja powoduje, iż nawiązuje ciekawe relacje z mieszkańcami wioski kaszubskiej. W opowiadaniu mamy dwa wyraźnie zarysowane czasy akcji-historyczny i współczesny, które nakładają się na siebie. Wyróżniki współczesności to np. urząd Gminy, ale obok niego silnie działają na bohaterkę elementy starej kultury słowiańskiej. Czy są to tylko legendy? Walorem opowiadania jest ciekawa i dynamiczna narracja, dobrze zarysowane postacie a także interesujące opisy miejsc akcji.

Inny wymiar historyczny ukazuje opowiadanie „Pani Stanisława” autorstwa MaTa. Opowiadanie to mini epepeja narodowa ukazująca dzieje pewnej rodziny na tle czasów przedwojennych, poprzez II wojnę światową, aż do czasów

współczesnych. Również zmienia się miejsce zamieszkania rodziny – od Tykocina do Wejherowa. Przedwojenna sielskość polskiej prowincji w Tykocinie przeciwstawiona jest okrucieństwu wojny. Narrator wplata do swoich dywagacji elementy technicznej współczesności i tak np. słowem delete zostaje nazwany udar mózgu, zaś zawieszenie komputera, to brak pracy mózgu.

Opowiadanie „Pani Stanisława” posiada ciekawą kompozycję - coś na kształt katechizmu, czyli pytania i odpowiedzi. Charakterystyczne jest bogactwo języka, urozmaicona metaforyka, piękno epitetów i porównań.

Inną perspektywę znaczeniową pokazał nam Lesok w w eseju „Ubetk”. Esej napisany jest piękną kaszubszczyzną. Autor podejmuje wątki historyczne, wraca to czasów tworzenia się polskiej państwowości i szuka odpowiedzi na wzajemne powiązania mieszkańców różnych regionów geograficznych w tym przede wszystkim, Kaszubów.

W zupełnie inny region przenosi czytelnika Eska w przepięknej prozie poetyckiej „Moja Wojodina - z podróży notatek”. Czytelnik zostaje przeniesiony w niezwykle urokliwy pejzaż Wojvodiny, a obrazy malowane przez autorkę są nie tylko plastyczne, ale i nasycone zapachami gorącego, południowego lata. Autorka posługuje się pięknym językiem, dojrzałym, wzbogaconym zabiegami poetyckimi. Poetyckie obrazy naszkicowane są z wykorzystaniem rozlicznych metafor, onomatopei: *czujemy zapachy pól, słyszymy szemrzenie owadów*.

Natomiast Tobiaszka w utworze pt. „Zapisane jutro” dokonuje swego resume opartego na determinizmie rodzinnym. Autor przedstawi skrótową charakterystykę swojej rodziny, której cechą jest ciekawość świata. I właśnie tym samym tropem podąża bohater. Jego ciekawość świata pcha go nie tylko do podróży i poznawania nowych krain geograficznych, ale także do zgłębiania inności kulturowej.

Niezwykle opowiadanie nadesłała na nasz konkurs „Ćma barowa”. Jej opowiadanie nosi tytuł „Belgrad- Praga- Warszawa”. Bohaterka znajduje się nocą na dworcu autobusowym w Pradze czeskiej. Wraca z dłuższego pobytu w Belgradzie, pełna jest wspomnień, zaznanych radości, poczucia wspólnoty kulturowej z belgradczykami. Jednak w czasie podróży wraca do poczucia więzi ze swoimi krajanami w Polsce, z poznanym Bułgarem dyskutuje o relacjach pomiędzy Kaszubami a pozostałymi mieszkańcami Polski. Okazuje się, jak silne są relacje uczuciowe z miejscami rodzinnymi. W końcu bohaterka zadaje sobie pytanie: "Sama nie wiem, skąd jestem?"

Nasz konkurs w obrębie poezji zgromadził niezwykle bogactwo utworów poetyckich. Na czoło wysunęła się Mignon. Jej szczególnie piękny utwór to „Kaszubska jesień”. Wiersz jest stroficznie nieregularny. W utworze pojawia się rytmika, choć jest to również regularność jakaś poza systemowa. Tę poetykę można przyrównać do awangardy krakowskiej. W wierszu dominuje kolorystyka impresjonistyczna: szarość, cienie, szarówka, mgły. Jednak nie jest to to-



nacja nieprzyjazna człowiekowi - wiersz wytwarza atmosferę ciepła i przychylności. W utworze podmiot liryczny przedstawia atrybuty Kaszub: jeziora, lasy, pola a nawet kartofliska. Jest to kraina bezpieczna i przyjacielska - najpiękniejszy kraj rodzinny.

Równie piękny jest wiersz „Moja kraina”. W utworze podmiot liryczny wprowadza nas do swojej krainy poprzez słowa klucze: jeziora, ziemie, roślinność, pnie i konary. Wszystko to jest dziełem boskim. Odnajduje tu klasykę arkaadyjską - piękno wynikające z harmonii tego, co boskie i tego, co ludzkie.

Zdobywca drugiej nagrody w dziale Poezja przedstawił wiersze w języku kaszubskim. Kunszt językowy tych utworów jest niezwykle. Autor to prawdziwy mistrz języka kaszubskiego. W utworze pt. „Romk muzykant” odnajduje kaszubską wersję koncertu Jankiela. Romk gra na skrzypcach, a my słyszymy szum rzek, śpiew ptaka, odgłosy życia.

Natomiast utwór pt. „Poręk na gburstwie”, to typowa poezja narracyjna. Jest to liryczna opowieść o ciotce Gicie i wydarzeniach na gospodarstwie, ale sytuacja liryczna powoduje, że stajemy się uczestnikami niezwykłego wydarzenia nie ustępującego porankowi w Soplicowie.

W inne słowiańskie strony przenoszą odbiorcę wiersze Aquariusza. „Podolskie żniwa” - taki tytuł nosi pierwszy w przedstawionych wierszy. Ile podobieństw z poprzednimi utworami: ziemie bogate plonami, krzątanie się ludzi przy zbiorach, opieka religijna, obecność Boga, nawet ciotka, tylko że tutaj o imieniu Daryna. Słowiane – odlegli, ale podobni.

Na uwagę zasługują też wiersze Stolema. W utworze pt. „Do mowy kaszubskiej” podmiot liryczny wyraża swoją miłość do Kaszub i największego skarbu – mowy kaszubskiej. Przypomina mitologię kaszubską – skrę Ormuzdową, Arymana, a także bohaterów ziemi kaszubskiej np. Abrahama, którzy w przełomowych chwilach historii Polski upominali się o nasze miejsce w Europie.

Każdy z utworów w kategorii wiekowej twórców do lat 19. cieszy zawsze wyjątkowo. W dobie wszechobecnego internetu mawia się, że twórczość młodych ludzi sprowadza się do czynności „kopiuj-wklej”. Nasz konkurs, co roku pokazuje, że jest inaczej.

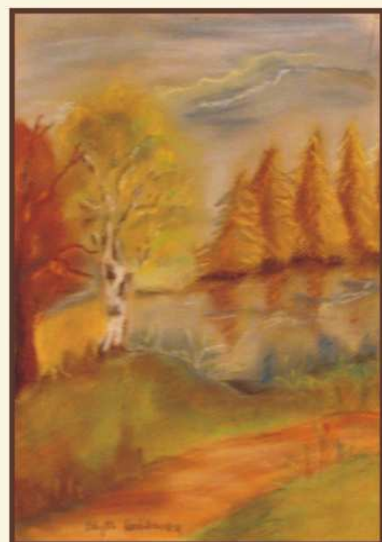
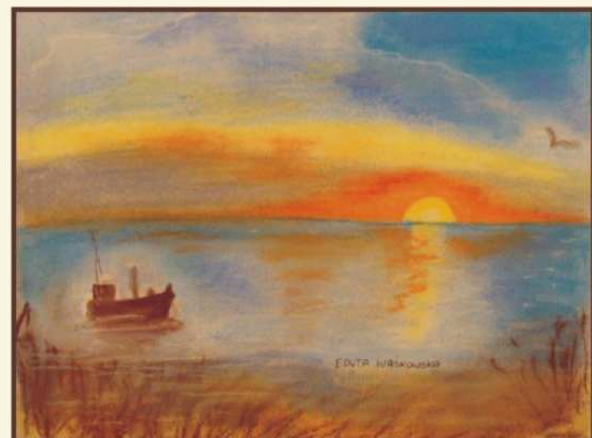
Plon praca konkursowych ukazuje bliskość wielu narodów słowiańskich - bliskość nie tylko terytorialną, ale historyczną i mentalną. I jeszcze jedno - trzeba pamiętać, że na Kaszubach żyją nie tylko Kaszubi. Otwarte granice powodują, że na Ziemi Kaszubskiej pojawia się coraz więcej przybyszy z odległych stron. Dlatego musimy uczyć się siebie nawzajem, szanować odmienność i czerpać z różnorodności.

***Danuta Balcerowicz***

## Spis treści

Bogdan Tokłowicz – <i>Drodzy Czytelnicy</i>	3-4
Wyniki konkursu	5
Lucyna Kurpiewska: <i>Abrakadabra</i>	7-18
Tadeusz Buraczewski: <i>Pani Stanisława</i>	19-25
Mateusz Meyer: <i>Ùbëtk</i>	26-27
Anika Wojewska: <i>Zapisane jutro</i>	28-32
Maria Block: <i>Moja Wojvodina - z podróźniczych notatek</i>	33-35
Elżbieta Czarnecka: <i>Belgrad - Praga - Warszawa</i>	35-38
Monika Lidzbarska: <i>Zaùtk</i>	39
Monika Lidzbarska: * * *	40
Monika Lidzbarska: * * *	41
Krzysztof Kamil Bojarski: <i>Tęskonta Przyziemna</i>	42
Krzysztof Kamil Bojarski: <i>Wspomnienie minionego lata</i>	43
Magdalena Wołosiak: <i>Tylko tutaj</i>	44
Magdalena Wołosiak: * * *	45
Magdalena Wołosiak: <i>Wspomnienie</i>	46
Michał Skorupa: <i>Tęsknota, Morska dziewczyna</i>	47
Michał Skorupa: <i>Pomorska Kraina</i>	48
Edyta Wysocka: <i>Kaszubska jesień</i>	49
Edyta Wysocka: <i>Moja kraina</i>	50-51
Edyta Wysocka: <i>Powroty II</i>	52
Tomasz Michał Fopke: <i>Wspómink pierszi</i>	53
Tomasz Michał Fopke: <i>Rómk muzykant</i>	54
Tomasz Michał Fopke: <i>Pórenk na gburstwie</i>	55-56
Zbigniew Radosław Szymański: <i>My Kaszubi, lubim sielanki</i>	57-58
Zbigniew Radosław Szymański: <i>Do mowy kaszubskiej</i>	59

Zbigniew Radosław Szymański: <i>Latawce</i>	60
Mirosław Odyniecki: <i>Podolskie żniwa</i>	61
Mirosław Odyniecki: <i>Dziewczyna ze słońcem w dłoniach</i>	62-63
Mirosław Odyniecki: <i>Bartnik</i>	64
Tadeusz Buraczewski: <i>Saga wejherowsko-bałkańska</i>	65-66
Tadeusz Buraczewski: <i>Ja zawsze mam ze sobą mały teatr...</i>	67
Tadeusz Buraczewski: <i>Jezioro Dobre...</i>	68-69
Stanisław J. Zieliński: <i>Popatrz Generale</i>	70-74
Emilia Jarząbek-Ziemnicka: <i>Majowy czas</i>	75
Emilia Jarząbek-Ziemnicka: <i>Lubię błędzić</i>	76
Emilia Jarząbek-Ziemnicka: <i>Wigilia w Izbicy</i>	77
Magdalena Grzezińska: <i>Pod miedzą</i>	78
Magdalena Grzezińska: <i>Cisza szmaragdowego morza</i>	79
Magdalena Grzezińska: <i>W blasku dnia</i>	80
Andrzej Sitek: <i>Przyszłość daleka, Recepta</i>	81
Andrzej Sitek: <i>Prośba</i>	82
Andrzej Sitek: <i>Rejsy</i>	83
Marta Szmytke: <i>Natura, mimo zmian</i>	84
Marta Szmytke: <i>Sielanka, Słowiańskie rodziny</i>	85
Danuta Balcerowicz: <i>Okiem jurora</i>	86-88
Spis treści	89-90



POWIATOWA I MIEJSKA BIBLIOTEKA  
PUBLICZNA W WEJHEROWIE  
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

Prace z wystawy Letniej Akademii Malarstwa zorganizowanej w bibliotece autorstwa:  
Bogny Zubrzyckiej, Edyty Waśkowskiej, Krystyny Karczewskiej, Lucyny Kotłowskiej,  
Małgorzaty Kubasik, Stanisława Zarazińskiego i Andrzeja Kierznikowicza (1 strona).